Nr. 9 i 10. Kraków, w październiku 1905 r. Rok VI.



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Unia kościelna i obrządek grecko-katolicki.

We wschodniej części dzielnicy Polski zwanej Galicyą, mieszkają jak wiadomo katolicy dwóch obrządków: rzymskiego i greckiego, czyli jak powszechnie nazywają: polskiego i ruskiego. Wszyscy o tem wiemy, nie każdy jednak rozumie, jaka różnica zachodzi pomiędzy tymi obrządkami i skąd się ona wzięła. Nie każdy wie również, że w Królestwie i w innych ziemiach polskich pod Moskalem, wyznawców obrządku greckiego nazywają unitami, a sam obrządek ten, obrządkiem unickim.

Chcąc wspomnianą wyżej różnicę i przyczynę jej wyjaśnić, musimy nieco pomówić o dawnych czasach, w których wiara chrześcijańska rozszerzyła się w naszym narodzie.

Ziemię, którą zajmuje Polska, ojczyzna nasza, zamieszkuje naród polski od niepamiętnych czasów. Praojcowie nasi mieszkali tu już długo, bardzo długo przed erą chrześcijańską, t. j. przed narodzeniem Chrystusa Pana. Żyli oni wówczas swobodnie wśród swoich pól i lasów, zatrudnieni polowaniem, rybołostwem, pasterstwem i rolnictwem. Z natury łagodni i spokojni, a swobodę miłujący nadewszystko, nie napadali sąsiednich narodów, nie trudnili się zaborami i grabieżą. Urodzajna ziemia dostarczała im podostatkiem chleba, lasy aż nadto zwierzyny, wody ryb do syta, a pszczoły chodowane wśród borów, słodkiego miodu.

Pomimo tak spokojnego usposobienia, nie zbywało im przecież na męstwie i waleczności. Rozrzuceni po szerokich przestrzeniach swej ziemi i podzieleni na gminy, które się same rządziły, gdy wróg im zagroził, łączyli się ze sobą i mężny mu opór stawiali.

Wróg taki nierzadko zjawiał się na niwach naszych. Różne ludy azyatyckie, dążące na zachód, przewalały się przez nie, niszcząc ziemię naszą i zmuszając jej mieszkańców do walki i obrony swojej wolności.

Ludy te jednak, niby burze wiosenne, przeciągały przez kraj nasz, nie pozostawiając za sobą dłużej trwających śladów. Dopiero w 9-tym i w 10-tym wieku po narodzeniu Chrystusa, zagroził swobodzie praojców naszych, równocześnie niemal od wschodu i zachodu, wróg stały, a niebezpieczny. Wrogiem tym

od wschodu byli Normandowie, od zachodu Niemcy.

Normandowie naród bitny, zamieszkiwali kraj północny za morzem Bałtyckiem. Kraj to był skalisty, nieurodzajny, przez większą część roku pokryty lodem i śniegiem; to też Normandom, w miarę jak się rozmnażali, ciasno i głodno w nim było, więc wyprawiali się w różne strony świata, szukając sobie miejsca i chleba.

Niemcy, zagrażający nam od zachodu, mieszkali w kraju pięknym i urodzajnym, żyźniejszym nawet od naszego, lecz z natury dzicy, krwi i zdobyczy chciwi, napadali pograniczne narody, mordowali je i łupili.

Normandowie przybywszy z głębokiej północy w drugiej połowie dziewiątego wieku po Chrystusie, opanowali w następnym stuleciu wschodnią część kraju przodków naszych, położoną pomiędzy rzekami Bugiem i Dniestrem, a Dnieprem, przezwali siebie i podbity lud Rusinami, od rodzinnej krainy swojej w Szwecyi, Ros zwanej i lud ten dotychczas wolny i niepodległy, zmienili w niewolników uciskając go srogo.

Szczęśliwszą była zachodnia część ojczyzny naszej, położona pomiędzy Niemnem i Bugiem, a Odrą, tu bowiem lud zawczasu skupiać się zaczął i pod Piastem, następnie zaś pod potomkami jego utworzył państwo polskie, które przez wieki całe zwycięsko odpierało zaborcze zakusy Niemców.

Przysłowie mówi: „Nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło“ — nie zawsze to prawda, lecz często tak się zdarza, że najgorsza bieda miewa dobre strony. Taką dobrą stroną krwawych walk z Niemcami było dla Polaków zetknięcie się z wiarą chrześcijańską. W dziesiątym wieku Niemcy, graniczący z Italią, gdzie wiara Chrystusowa najpierw odniosła zwycięstwo i najszerzej się rozpowszechniła, byli już chrześcijanami, praojcowie zaś nasi wyznawali jeszcze wiarę pogańską, polegającą na oddawaniu czci siłom przyrody. Walcząc z Niemcami zapoznali się Polacy z prawdziwą wiarą, a urok jej wnet na nich oddziałał. Gdy na tronie polskim zasiadł prawnuk Piasta, mądry i dzielny Mieczysław I., wiara chrześcijańska coraz większy wpływ na Polaków wywierać zaczęła, aż i Mieczysław z jednej strony ulegając jej urokowi, z drugiej pragnąc odebrać Niemcom pozór do walki z Polakami, przyjął w r. 965 chrzest święty, a z nim ochrzcił się cały podległy mu naród polski.

Tymczasem we wschodniej części ojczyzny naszej, za Bugiem i Niemnem, panowali potomkowie Normandów, książęta ruscy, których stosunek do ludu im podwładnego, zupełnie był inny, aniżeli polskich książąt do narodu. Książęta nasi, jak np. Mieczysław I., pochodząc od Piasta, byli Polakami z krwi i kości, tak dobrze, jak cały naród. Książęta ruscy przeciwnie byli wraz z otaczającymi ich bojarami, jak wówczas na Rusi zwano możnych panów, zupełnie obcymi miejscowemu ludowi, który gwałtem ujarzmili i przemocą w posłuszeństwie trzymali. Książąt tych było bardzo dużo, najstarszym jednak nad nimi był ten, który mieszkał w Kijowie nad Dnieprem. Na kijowskim tronie zasiadł w r. 980 książe Włodzimierz, człek rozwiązły i srogi, ale przebiegły i mądry, ten widząc, że prawdziwa wiara zaczyna z za Bugu oświecać lud mu podległy, obawiając się wpływu polskiego, sprowadził księży z Konstantynopola i polecił im szerzyć religię chrześcijańską, a wreszcie w r. 988 ożeniwszy się z córką cesarza bizantyńskiego panującego w Konstantynopolu, przyjął chrzest święty i wprowadził wiarę chrześcijańską we wszystkich podległych mu krajach.

Tak więc chrześcijaństwo zapanowało przy końcu dziesiątego wieku w całej naszej ojczyźnie; do zachodniej jednak Polski, zostającej pod panowaniem Mieczysława, przyszło wprost z Rzymu, kraje zaś podległe ruskim książętom otrzymały je z rąk kapłanów przybyłych z Konstantynopola, gdzie zarządzał kościołem podległy papieżowi biskup, zwany patryarchą wschodu.

W r. 988 cały Kościół chrześcijański podlegał jeszcze ustanowionemu przez Chrystusa Pana papieżowi w Rzymie, wiara więc przyjęta z Konstantynopola była równie dobrą, jak pochodząca z Rzymu. Wprawdzie od czasu założenia Konstantynopola i rozpadnięcia się dawnego państwa rzymskiego na zachodnie, czyli łacińskie i na wschodnie bizantyńskiem zwane, także i Kościół katolicki, t. j. powszechny, podzielił się na łaciński i grecki, różnica jednak zachodząca pomiędzy nimi była jedynie zewnętrzną i zasadzała się głównie na tem, że w łacińskim odprawiano nabożeństwo po łacinie, w greckim zaś kościele w językach greckim, ormiańskim, lub tak zwanym cerkiewnym, t. j. serbsko-bułgarskim.

U nas przyjęcie wiary katolickiej z dwóch źródeł, z Rzymu i z Konstantynopola, wywo-

łało tę różnicę, iż w Polsce pod panowaniem Piastów zostającej, językiem kościelnym stał się łaciński, w krajach zaś podległych książętom ruskim cerkiewny, serbsko - bułgarski.

Różnica ta była bardzo niedobrą, ludziom bowiem nieoświeconym, na których formy zewnętrzne silniej działają, niż istota rzeczy, zdawało się, iż istnieją dwie wiary chrześcijańskie: polska i ruska!

Niedosyć tego — patryarchowie konstantopolitańscy, władający kościołem wschodnim z ramienia papieża, wszczynali z nim częste spory i radzi byli wyłamać się z pod jego władzy.

Doszło wreszcie do tego, iż w r. 1054, patryarcha Michał Cerularius sam się papieżem ogłosił, stając się przez to odszczepieńcem od kościoła katolickiego.

Tak więc ludy, podległe książętom ruskim, w 66 lat po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, znalazły się poza obrębem tego kościoła i stały się schyzmatykami.

Ludy te za mało były oświecone, by mogły zrozumieć swoje położenie, książęta zaś ruscy dbając jedynie o ziemskie cele, woleli zależeć od słabego patryarchy konstantynopolitańskiego, niż od potężnego naówczas papieża rzymskiego.

W czternastym wieku książęta litewscy: Gedymin, a następnie Olgierd, odebrali książętom ruskim wschodnią Polskę pomiędzy Bugiem i Dnieprem położoną. Księstwa ruskie poznikały i zostało tylko księstwo moskiewskie obejmujące Moskwę, Murom i inne kraje przez turańskie ludy zamieszkałe.

Litwa za sprawą królowej Jadwigi niedługo potem połączyła się z Polską, a z nią i wschodnie dzielnice naszej ojczyzny: Wołyń, Podole i Ukraina wróciły do Polski.

Teraz wyznawcy religii wschodnio-chrześcijańskiej, czyli greckiej, znaleźli się częścią w Polsce, częścią w księstwie moskiewskiem. W księstwie tem pod wpływem swoich książąt, którzy już i konstantynopolitańskiego patryarchy słuchać nie chcieli i wbrew wszelkim prawom zamianowali głową moskiewskiego kościoła metropolitę rezydującego w mieście Moskwie, stali się chrześcijanie tamtejsi podwójnymi schyzmatykami, gdyż odszczepili się od schyzmatyckiego Kościoła wschodniego, tworząc podwójnie schyzmatycki moskiewski, który wbrew prawdzie nazwali „prawosławnym“, czyli prawowiernym. Natomiast w Polsce ludzie greckiego wyznania pod wpływem wolności i oświaty, zaczęli przychodzić do przekonania, że wiara ich nie jest prawosławną, czyli prawowierną, lecz schyzmatycką. Aż wreszcie w r. 1595 za staraniem metropolity kijowskiego Michała Rohozy, oraz innych duchownych, zebrał się synod, czyli sejm duchowny w Brześciu litewskim, na którym zawarto unię pomiędzy kościołami rzymskim i greckim. Wyraz „unia“ pochodzący od słowa łacińskiego „unus“ po polsku: jeden, znaczy tyle co zlanie się, zjednoczenie w jedno nierozdzielne ciało, w jedną nierozdzielną całość. Na mocy unii brzesko-litewskiej wyznawcy wiary greckiej w Polsce powrócili na łono kościoła rzymsko-katolickiego, przyczem pozostawiono im prawo odprawiania nabożeństwa w języku cerkiewnym, przyjmowania komunii pod dwoma postaciami, t. j. nie w samym chlebie tylko, czyli opłatku, lecz w chlebie i winie, oraz liczenia czasu według starego kalendarza, księżom zaś ich wolność wstępowania w związki małżeńskie.

W ten sposób powstał obrządek grecko-katolicki, czyli unicki, nazwany tak od zawartej unii, który jako uznający papieża rzymskiego za głowę Kościoła, jest tak samo katolicką wiarą, jak obrządek rzymski, a różni się od niego jedynie zewnętrznie, odprawianiem nabożeństwa w języku cerkiewnym, serbsko-bułgarskim, przyjmowaniem komunii pod dwoma postaciami chleba i wina, oraz liczeniem czasu według starego kalendarza.

Ta ostatnia różnica, najbardziej wpadająca w oczy, ma właśnie najmniejszy związek z istotą religii, a polega wyłącznie na pomyłce w rachowaniu czasu.

Kalendarz, czyli sposób liczenia czasu, w gruncie rzeczy nic niema wspólnego z religią i nie jest ściśle biorąc ani katolickim, ani chrześcijańskim; pochodzi bowiem z czasów pogańskiego Rzymu. Chrześcijańskiem jest w niem to tylko, że obecnie liczymy czas, nie jak starożytni Rzymianie od założenia Rzymu, lecz od najważniejszego dla chrześcijan wydarzenia, od urodzenia Jezusa Chrystusa, oraz że notujemy w kalendarzu dnie świąteczne.

Wiadomo, że czas dzieli się na lata, miesiące, tygodnie i dnie, z których ostatnie znów dzielą się na godziny, godziny na minuty, a minuty na sekundy.

Sekunda jest to najmniejsza część czasu. Gdy będę liczył zwolna raz, dwa, trzy, cztery i t. d., to czas który upływa za wymówieniem

każdego z tych słów: raz, dwa i t. d. nazywa się sekundą. Sześćdziesiąt takich sekund tworzy minutę, a 60 minut, czyli trzy tysiące sześćset sekund godzinę.

Pełny dzień czyli doba, od 12-ej do 12-ej w nocy liczona, ma godzin 24.

Wiadomo także, że u liczących według starego kalendarza, jak np. u katolików greckiego obrządku, wszystko jest później o dni 13-cie, tak że gdy u nich liczą np: 1-go sierpnia, to w rzymskim kalendarzu jest już 14-sty.

By zrozumieć przyczynę tej różnicy, trzeba poznać historyę kalendarzy, starego i nowego.

Na 45 lat przed narodzeniem Chrystusa, był konsulem Rzymu, czyli najwyższym urzędnikiem ówczesnej Rzeczypospolitej rzymskiej Juliusz Cezar. Był to bardzo mądry człowiek, pozaprowadzał niemało ulepszeń w prawach i urządzeniach rzymskiego państwa, a między innemi poprawił także ówczesny kalendarz rzymski.

Według kalendarza tego rok miał 365 dni. Otóż Cezar zauważył, że licząc rok za rokiem tyle dni, popełniamy gruby błąd, gdyż prawdziwa długość roku wynosi 365 dni 5 godzin 48 minut i 46 sekund, tyle czasu bowiem potrzebuje ziemia nasza na obejście raz dokoła słońca. Za czasów Cezara mniemano wprawdzie, że to słońce tyle czasu potrzebuje na obejście dokoła ziemi, długość roku jednak już wówczas ściśle obliczoną była.

Wobec tego, iż długość ta wynosi nie równo 365 dni, lecz 365 dni 5 godzin 48 minut i 46 sekund, gdybyśmy całkiem dokładnie liczyć chcieli i przyjęli jednego roku, iż nowy rok zaczyna się o północy 1-go stycznia, to w następnym roku powinienby być początek jego o godzinie 5-ej 48 minut 46 sekund rano, w trzecim o 10-ej 37 minut 32 sekund przed południem, w czwartym o 4-ej godzinie 26 minut i 18 sekund po południu i t. p.

Naturalnie, że takie liczenie początku roku jest niemożliwem. Rozumiał to Cezar i dla tego inny wymyślił sposób. Powiedział sobie: 5 godzin 48 minut i 46 sekund, to przecież p r a w i e 6 godzin. Jeżeli opuszczamy co roku te godziny, minuty i sekundy, to opuszczamy p r a w i e 6 godzin, w ciągu więc lat czterech opuścimy 24 godzin, t. j. jedną dobę, czyli jeden pełny dzień; dodajmy więc każdemu czwartemu rokowi dzień jeden, a naprawimy to, cośmy przez poprzednie trzy lata popsuli i błąd wyrównamy.

Postanowił przeto, iż co lat cztery rok ma mieć nie 365, ale 366 dni, ponieważ zaś wszystkie miesiące roku miały wówczas, tak jak teraz, po 30, albo po 31 dni, tylko luty liczył ich 28, dodał ten dzień lutemu.

Taki rok o 366 dniach, w którym luty ma 29 dni, nazywa się p r z e s t ę p n y m, bo przestępuje zwykłą liczbę dni roku o jeden.

Poprawiony w ten sposób kalendarz rzymski, pogański, nazwano j u l i a ń s k i m, od imienia Cezara: Juliusz, czyli Julian.

Poprawka wprowadzona przez Cezara była bardzo rozumną, ale niecałkiem dokładną. Niedokładność tkwi w tem mianowicie, że Cezar przyjął, iż 5 godzin, 48 minut i 46 sekund to **prawie** 6 godzin. To „prawie“ niby niewielkie, bo do 6-iu godzin brakuje tylko 11 minut i 14 sekund. Policzyć w roku 12 niecałych minut, to niby nic nie znaczy, ale jak je zaczniemy doliczać rok za rokiem przez lat sto czyli wiek, to urośnie z nich przeszło 18 godzin, po 9-ciu wiekach tydzień, po kilkunastu miesiąc i t. d. Przyszłoby wreszcie do tego, że Boże Narodzenie byłoby na wiosnę, a jajka wielkanocne święciliby nasi potomkowie w żniwa. Przecież wieki całe upłynęły, zanim spostrzegli ludzie jaki błąd w rachubie czasu popełniają i do czego to prowadzi.

Dopiero w 1600 przeszło lat po Cezarze, spostrzegł to papież Grzegorz XIII., a nie dowierzając sobie, czy się nie myli, zwołał astronomów, t. j. ludzi uczonych, którzy bieg gwiazd i planet śledzą i obliczają, i polecił im zbadanie, czy i jaki błąd wynika z postanowienia Cezara, by co czwarty rok jeden dzień dodawać.

Astronomowie obrachowali, że błąd jest i wynosi już dni dziesięć. Było to w r. 1582.

Wówczas papież Grzegoż XIII. postanowił, że rok 1582, będzie miał dla wyrównania popełnionego błędu, tylko 355 dni, a mianowicie, że w październiku tego roku opuści się dnie: 5-ty, 6-ty i t. d. aż do 14-go i zaraz po 4-tym października liczyć się będzie 15-ty. Ażeby zaś na przyszłość błąd ten się nie powtarzał, zarządził, że w każdym wieku, t. j. w każdych stu latach ma być nie 25, tylko 24 lat przestępnych, a jedynie co czwarty wiek, jak dawniej 25 lat takich.

W kalendarzu juliańskim lata kończące stulecie, t. j. takie jak rok: 1000, 1100, 1200, 1300 i t. p. są przestępnemi i mają po 366

dni, w nowym poprawionym przez Grzegorza XIII. lata takie tylko co czwarty wiek są przestępnemi, t. j. tylko w r. 1600, 2000, 2400, 2800, 3200 i t. d., we wszystkich zaś innych wiekach, a więc roki: 1700, 1800, 1900, 2100 i t. d. są zwyczajnymi o dniach 365-ciu.

Poprawienie kalendarza według zarządzenia Grzegorza XIII-go było bardzo rozumnem i użytecznem, nie wszyscy jednak ludzie mieli tyle rozumu, by pojąć, że tu nie chodzi o żadne religijne zasady, lecz jedynie o należyte i prawidłowe liczenie czasu. Tylko katolicy rzymskiego obrządku zastosowali się zaraz do nowego kalendarza, który od imienia papieża, brzmiącego po łacinie „Gregorius“, gregoriańskim nazwano. Protestanci i inni chrześcijanie, nie uznający papieża rzymskiego za głowę Kościoła, dlatego jedynie, że to papież właśnie poprawił kalendarz, przyjąć nowego kalendarza nie chcieli i liczyli dalej błędnie według juliańskiego. Dopiero w XVIII. wieku. t. j. przeszło 100 lat temu, pomiarkowali, iż popełniają niedorzeczność i zaczęli rachować czas jak należy.

Obecnie trzymają się dawnego kalendarza jeszcze tylko Moskale, wyznający religię prawosławną, a raczej carosławną, jakoteż katolicy obrządku greckiego.

Moskale źle czas liczą, bo tak chce i każe car. A chce tak i każe, gdyż radby, ażeby moskiewska religia, której on jest papieżem od czasów cara Piotra, zwanego wielkim, różniła się jak najbardziej od katolickiej. Niech będzie źle, głupio, byle inaczej niż u katolików!

Unici, czyli katolicy greckiego obrządku, wracając w r. 1595 na łono Kościoła katolickiego, zastrzegli sobie, jak to już powiedzieliśmy wyżej, prócz odprawiania nabożeństwa w cerkiewnym języku i komunii pod dwoma postaciami, także używanie juliańskiego kalendarza i trzymają go się dotychczas. Uczynili to wówczas z niezrozumienia, że czas źle liczą i z przywiązania do dawnych form zewnętrznych służby Bożej, zaliczając mylnie do form tych, także i kalendarz.

Uczynili wówczas źle i teraz źle czynią, trzymając się juliańskiego kalendarza, gdyż popełniają przez to niedorzeczność błędnego liczenia czasu, a co gorsza odróżniają się przez to w sposób jaskrawy od Kościoła katolickiego, do którego należą, a stają pozornie podobnymi do moskiewskiego, zwanego prawosławnym, z którym nic wspólnego nie mają. Za trwanie w tym błędzie odpokutowali unici krwawo w ziemiach polskich pod Moskalem, rząd carski bowiem właśnie na podstawie tego podobieństwa, uważał ich za prawosławnych i gwałtem zmuszał do wyznawania prawosławnej wiary. Wiara ta, jak wykazaliśmy wyżej, jest podwójną schyzmą, podwójnem odstępstwem od wiary katolickiej, a to tem bardziej, iż tylko od czasu panowania cara Piotra, nazwanego przez historyków moskiewskich „wielkim“, był głową prawosławia duchowny, metropolita w mieście Moskwie rezydujący — car Piotr bowiem w roku 1700, rozgniewany na ówczesnego metropolitę kazał go zabić, a duchowieństwu schyzmatyckiemu zapytującemu, kto teraz będzie głową ich kościoła, odrzekł, wskazując na siebie: ja nią jestem! Odtąd papieżem Moskali jest car, niemający nawet w schyzmatyckim kościele, charakteru duchownego.

Do wyznawania tej carosławnej wiary starał się rząd moskiewski przez sto lat bez mała, przymusić unitów. Opierających się słał tysiącami w Sybir, tysiącami katował i zabijał. Teraz dopiero upokorzony i osłabiony przez Japończyków, w ostatnich kilku miesiącach przestał się znęcać nad unitami, którzy korzystając z ukazu carskiego, dozwalającego na przechodzenie z prawosławia na inne wyznania chrześcijańskie, tysiącami przechodzą na obrządek rzymsko-katolicki, by się uchronić na przyszłość, nawet i od zewnętrznego podobieństwa do schyzmy.

Stosowanie się do juliańskiego kalendarza jest i z innych powodów nader niekorzystnem i niepraktycznem; obecnie wszystkie dnie w tym kalendarzu przypadają o 13 dni później niż w poprawionym gregoryańskim, do którego cały ucywilizowany świat się stosuje. Święta stałe wypadają również o 13 dni później, tak np. Boże Narodzenie obchodzone w całym świecie dnia 25 grudnia, przypada u katolików greckiego obrządku na 7 stycznia, Nowy Rok zamiast na 1-go, na 14-go stycznia itp. Gorsze jeszcze zamieszanie ze świętami ruchomemi, t. j. stosującemi się do terminu w jakim przypada Wielkanoc. Według przepisów kościelnych Wielkanoc rozpoczyna się w pierwszą niedzielę po pierwszej pełni, po wiosennem porównaniu dnia z nocą, t. j. po dniu 21 marca; a to dlatego, ażeby światło księżycowe na niebie było podczas wielkiego tygodnia i świąt wielkanocnych takie same, jak w dniu śmierci na krzyżu

i zmartwychwstania Zbawiciela. Wspomniana pełnia bywa raz prędzej, raz później po 21 marca i dlatego Wielkanoc przypada raz zaraz po 21-ym tego miesiąca, innym razem w tydzień, we dwa tygodnie, albo nawet i w cały miesiąc po dniu tym, jeżeli pierwsza pełnia po 21-ym wypada dopiero w drugiej połowie kwietnia. W kalendarzu juliańskim 21 marca przypada na 3-go kwietnia, jeżeli więc pełnia jest między 3-im a 23-im kwietnia, to wielkanoc łacińska i grecka, czyli jak u nas zwykle mówią, polska i ruska, są razem, w tę samą niedzielę, w przeciwnym razie ruska o tydzień, albo o dwa tygodnie później.

Z trzymania się juliańskiego kalendarza wynikają najrozmaitsze niedogodności, a nawet niedorzeczności, zwłaszcza tam, gdzie katolicy obu obrządków razem pomieszani żyją, jak to zresztą najczęściej bywa. Mąż rzymskiego obrządku ma święta Bożego Narodzenia d. 25 grudnia, żona obrządku greckiego te samiuteńkie święta 7 stycznia. Wielkanoc raz mają razem, to znów osobno i t. p., a wszystko to z tej racyi tylko, że w kalendarzu juliańskim w ciągu stu lat jest 25, w poprawionym zaś gregoryańskim tylko 24 roków przestępnych!

Streszczając wreszcie to cośmy długo i szeroko omówili widzimy, że pomiędzy obrządkiem rzymsko-katolickim, a grecko-katolickim, czyli unickim, niema wewnętrznej, istotnej różnicy, są tylko zewnętrzne, polegające na odprawianiu nabożeństwa w odmiennych językach, przyjmowaniu komunii w innej formie i błędnem liczeniu czasu przez wyznawców grecko-katolickiego obrządku.

Inż. E. Śmiałowski.

Seweryna Duchińska.

Jedna z nielicznych już naszych romantycznych poetek, a zarazem najzacniejsza wygnanka-obywatelka i gorąca patryotka, ś. p. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa-Duchińska, zmarła dnia 22 sierpnia b. r. w Paryżu, mając lat 80.

Światło dzienne ujrzała Seweryna w roku 1825 w Koszajcu pod Soccaczewem w Królestwie Polskiem. Była to rodzinna wioska jej ojca; tam też otrzymała pod starannem kierownictwem matki piękne i zacne wychowanie oraz wyższe — jak na owe czasy — wykształcenie. Mając zaledwie lat 16, wyszła za mąż za obywatela ziemskiego, właściciela dóbr sąsiednich Tomasza Pruszaka.

Niezadługo jednak owdowiała — poczem różne wypadki rodzinne i krajowe zagnały ją do Francyi. Przebywając dłuższy czas w Paryżu, pilnie pracowała nad dalszem swem wykształceniem, to też uczęszczała na wykłady różnych znakomitych profesorów, między innymi Franciszka Duchińskiego, sławnego historyka, który pierwszy udowodnił naukowo, że Rosyanie są nie słowiańskiego ale mongolskiego pochodzenia.

Bliższe poznanie się Seweryny z Duchińskim doprowadziło ich do małżeństwa. Było to w roku 1864. Odtąd na stałe osiadła w Paryżu i wraz z mężem przez lat 40 pracowała niestrudzenie dla sprawy narodowej.

Zasłynęła jako poetka i literatka. Już w r. 1848 umieszczała próby swego talentu w pismach miesięcznych „Bibliotece warszawskiej“ i „Albumie literackim“. Potem wydała „Powieści naszych czasów“ w 4 tomach, „Gawędy i powieści“, „Powieści poetyczne“, „Elżbieta Drużbacka“ (poemat o poetce polskiej z XVII. wieku), „Obraz piśmiennictwa Słowian i Niemców“, „Obrazki historyczne“, „Sebastyan Klonowicz“ (poemat o poecie polskim z XVI wieku) i „Dwie gwiazdy“.

Między rokiem 1856—1863 zajmowała się wydawaniem „Rozrywek dla młodocianego wieku“, których wyszło 15 tomów. Jest to jej największa zasługa!

Wszystkie utwory jej pióra odznaczają się zwłaszcza ogromnie głębokiem uczuciem miłości Boga, ludzi, ojczyzny, prawdy i piękna. Jako przykład podajemy tutaj kilka jej wierszyków niewielkich ale pełnych najszlachetniejszych myśli i pięknych obrazów.

Cześć jej pamięci!

Z TUŁACTWA.

(Wiersz Seweryny Duchińskiej).

Słonko błyśnij z chmur,
Daj skowronku piór!
Niech polecę w świat daleki
Poza góry — poza rzeki,
Tam gdzie raniej złoci zorza
Ukłoszone łany zboża
I sosnowy bór.

Skowroneczku mój,
Wskaż mi czysty zdrój,
Gdzie ty czerpiesz cudne tony
Twej piosenki wypieszczonej,
Gdzie skrzydełka rzeźwisz zrana,
Nim zaniesiesz przed tron Pana
Korny pokłon twój.

Biel się dzionku, biel!
Rybko daj mi skrzel,
Niech popłynę w świat szeroki
Przez strumienie, przez potoki,
Niech mi znojna pierś ochłonie
W mojej Wisły czystem łonie,
Rybko użycz skrzel!

O! kto zaznał wprzód
Smak ojczystych wód,
Już mu piersi nie napoi
Gorzka woda cudzych zdroi,
Nie zaszumi mu otuchą,
Lecz bez wieści przebrzmi głucho
Poszmer cudzych wód!

Dmij wietrzyku, dmij,
Pożycz skrzydeł mi,
Niech w powietrznej pomknę fali,
Na wschód słonka coraz dalej,
Tam ochłodzę w skwar sierpniowy
Uznojonych żeńców głowy —
Dmij wietrzyku, dmij!

Kwiatku z naszych błoń —
Daj mi swoją woń,
Niechże z cicha nią powionę —
Na mogiły, na zielone,
Gdzie rodziców prochy drzemią
Pod ojczystą moją ziemią —
Kwiatku daj mi woń!

Ja zaślę ją tam
Do cmentarnych bram,
Niech w kościółka wniknie progi,
Niechże z wonią mirhy drogiej
U stóp krzyża pomieszana,
Leci w górę przed tron Pana,
I odpocznie tam!

IŚĆ BYM RADA!

(Wiersz Seweryny Duchińskiej).

Iść bym rada, gdzie myśl niesie,
Ale iść nie mogę,
Bo mi bracia w pustym lesie
Zagrodzili drogę!

Zagrodzili ją szeroko
Zwały lodowemi,
Że nie sięgnie przez nie oko
Do mej drogiej ziemi!

Próżno w walce targam siły,
W mur uderzam głową,
Nim się przedrze przez te bryły,
Kona w ustach słowo.

Czyż słoneczka promyk złoty,
Śnieżnych zasp nie skruszy?
Maż się rozbić pieśń sieroty
O chłód bratniej duszy!

Piosnko moja! blady kwiecie,
Stęskniony za rosą,
Ciebie wichry wnet po świecie
Bez wieści rozniosą!

Ciebie twarde zbiją grady,
Schłoną wód potoki,
Spłócze powódź twoje ślady,
Po ziemi szerokiej.

Próżno biedna pytasz z trwogą,
Jak ci kraj zapłaci?
Nie zapłacą, bo nie mogą
Zimne serca braci.

Niech umarli drzemią w grobie —
Snem co się nie prześni;
Bez współczucia smutno tobie —
Ah! gorzej bez pieśni!

TRZEBA NAM ŚWIATŁA!

(Wiersz Seweryny Duchińskiej).

Trzeba nam światła! oh! święte słowo,
Przez twoje młode wybiegło usta,
Pomrok nam słońce przyćmił grobowo,
Wkoło nas przestrzeń głucha i pusta,
Zgięły nam grzbiety więzy stuletnie,
Stuletni tuman zmącił nam zmysły,
Lecz te okowy Bóg cudem przetnie,
Brzaski przedświtu już nam zabłysły.

Trzeba nam światła! zbiegło to słowo
Jak żywa rosa przez usta twoje!

Snać Bóg nam drogę wskazał już nową.
Anioł przyszłości rozwarł podwoje.
Wzdłuż i wszerz Polski niech brzmi to hasło,
Niech iskrę wiary z serc wydobędzie,
Niechże otuchę zbudzi wygasłą,
Wołajmy światła, a światło będzie!

O! temu światłu, nie być fosforem,
Co złudnie świeci, lecz serc nie grzeje,
Ni błyskiem gromu, co żartkim torem
Pcha na burzliwe życia koleje,
Lecz jasną tęczą, co z łez się rodzi,
Zwiastunką miru po dżdżach i burzy,
Co myśl z wiekowej wyrwie powodzi,
Zasieje miłość — pokój wywróży.

Połączmy serca, połączmy głosy,
Gdy duchowego kraj łaknie chleba,
Z wiarą kołaczmy w zwarte niebiosy,
Wołajmy chórem: światła nam trzeba!
A światło będzie — światło być musi;
Wnet zorzy promień błyśnie nam złoty,
Przewidzą ślepi, zasłyszą głusi,
Serca się z chłodnej strzęsną martwoty.

Wołajmy światła! niechaj Anieli
W niebo na skrzydłach głos nasz podniosą,
A Bóg nasz biedny kraj uweseli
Ciepłem słoneczkiem, ożywczą rosą —
I wasza, siostry, siejba ofiarna
Plon dla przyszłości wyda wspaniały...
I waszą dłonią użęte ziarna,
Starczą na posiew dla Polski całej!

Z dziedziny umiejętności życia.

I.

Etyka, nauka o moralności, oto są powszechne nazwy najprzedniejszej umiejętności, którą mamy się tu zająć — najprzedniejszej zaiste, gdyż jest to umiejętność życia, umiejętność poprowadzenia życia tak by być w zgodzie, w karności z sobą, ze światem i ze wszechświatem; jest to zarazem umiejętność zdobywania największej sumy szczęścia i najprawdziwszego również na czas naszego pobytu na ziemi, jak i dla życia wiekuistego; jest to także umiejętność osiągnięcia najwyższej godności człowieczeństwa — to jest szlachetności. Zgoda z sobą samym, z bliźnim, z Najwyższą Istotą, która nas stworzyła, czyli harmonia wszędzie i we wszystkiem — a szczęście, a szlachetność—to owoce jednego drzewa: umiejętności życia — etyki! I czemże jest etyka w rzeczy samej? — Etyka jest rozpoznaniem praw rządzących czynami ludzkimi, z których składa się życie — jest przyjęciem pewnych wskazówek, które mają za przyczynę własną znajomość tych praw, a za rezultat ład, harmonia, szczęśliwość na ziemi, na świecie, w naszem życiu tu doczesnem i przyszłem. Etyka, dalej — to umiejętność postępowania wedle tych praw i wskazówek — to dalej — umiejętność „trzymania siebie w garści“, jak się wyraża jeden z naszych dzisiejszych myślicieli, — to — jednem słowem umiejętność rządzenia sobą według zasady, zawsze i wszędzie — nie zezwolenie na to, byśmy byli igraszką losu, otoczenia, okoliczności, fantazyi naszej własnej dobrej lub złej — byśmy byli niewolnikami naszych wad i nałogów. O! zaiste, nauczenie się tego, to nabycie wielkiej umiejętności — i nie powiemy zadużo twierdząc, że od niej zależy szczęście każdego z nas, kraju naszego i całej ludzkości.

Dziś jeszcze — ta umiejętność jest tak mało zgłębioną, tak mało wprowadzoną w życie, że my najczęściej, po prostu nie wiemy dlaczego tak lub owak postępujemy: „Wszystko zależy od naszego humoru“, jak się skarży „Nowoczesny Polak“.

Tu, chyba będzie na miejscu, przypomnieć wielkie odznaki godności człowieczej, które go wynoszą ponad wszelkie istoty stworzone, t. j. rozum i wola. Czyn wszelki, który nie nosi tych znamion — nie jest czynem człowieczem — nie jest czynem etycznym, t. j. moralnym. Pierwsza z tych odznak naszej godności— rozum, ma swoich wielbicieli; przybiera naraz nawet w oczach ludzkich postać jakiegoś bożyszcza. Dużo się nieraz poświęca czasu, dużo trudu i grosza dla ukształtowania tej naszej świetnej władzy — i z racyą: im człowiek ma jaśniej w głowie, tem lepiej widzi i rozumie złe i dobre — jednego może unikać, a drugie zdobywać. Smutno jednak, że często zadawalniamy się tylko wzbogacaniem naszego rozumu, a w okolicznościach nie udajemy się do tej skarbnicy złota i chleba. W okolicznościach życia — ot, tak sobie postępujemy, gdzie nas instykt popchnie, nie kopiąc w tej kopalni rozumu, t. j. nie zastanawiając się, czy tak jest dobrze lub źle i jakie z tego

będą rezultaty. A druga odznaka naszej wysokiej godności, t. j. jest wolna wola, zdolność wyboru, zdolność postanowienia — jest poniekąd zupełnie upośledzoną. My jej nieraz nie znamy, nigdy nie staraliśmy się jej zrozumieć; wszystko inne stawiamy na jej miejscu: zachcianki, instykt, popęd i t. d., gdy właśnie ona jest czemś — temu wszystkiemu zupełnie przeciwnem. Ono jest właśnie tą wielką monarchinią, która zwalcza właśnie tych najsromotniejszych tyranów ludzkości, instykta, nałogi, zachcianki; ale by wola była tem, czem powinna i może być, trzeba ją wyciągnąć z jej upośledzenia, trzeba ją kształcić w człowieku niemal od kolebki, a w starszym wieku trzeba ją zdobyć krwawym bojem, wypowiadając wojnę nieodwołalnem postanowieniem naszem namiętnościom, naszym nałogom. Już nasze społeczeństwo wchodzi na tę drogę: zawiązują się wspaniałe koła abstynenckie, obóz czystych, poczwórna wstrzemięźliwość; to wszystko nie tylko uleczy społeczeństwo z ran długoletnich, zaoszczędzi grosz jeszcze niedawno tak lekkomyślnie marnowany w towarzystwach niegodnych, przepijany, z dymem puszczany — nie tylko tym groszem zasilimy kasę celów narodowych i naszą własną, ale i zahartujemy tę królowę przymiotów ludzkich: wolę! ale gdy jeszcze weźmiemy sobie szczerze i otwarcie za kierowniczkę życia etykę i ją stosować będziemy w każdej chwili życia i w każdej okoliczności, rozum i wola zajmą nareszcie miejsce, jakie im od wieków przygotowane zostało, będą monarchą i monarchinią czynów ludzkich, a każdy z ich poddanych będzie świetnym bojownikiem, umiejącym się rządzić zawsze i wszędzie, w każdej dobie życia. Takie społeczeństwo, jak armia jakaś niezwyciężalna zginąć nie może, wszystko zwycięży, będzie panem swego losu i twórcą swego szczęścia. Etyka przedstawia człowiekowi dążenie do tego szczytu szlachetności i umiejętności rządzenia sobą, a na końcu tej drogi spotyka się cel człowieka i owoc tej pracy: szczęście jednostki i całego społeczeństwa. Postawmy więc sobie hasło, które będzie wyrazem etyki, proroctwem naszej szczęśliwości i drogą wiodącą do Odrodzenia Narodu! powiedzmy sobie i powtarzajmy ciągle: „Umiej rządzić sam sobą“. *(D. c. n.)*.

Legendy wielickie.

Mówią ludzie, że „góry są całe jakąś baśnią świata“, w porównaniu do reszty ziemi, wyglądają zupełnie nieprawdopodobnie. Te same słowa zastosowaćby można i do kopalń wielickich. Tam na setki metrów pod powierzchnią ziemi, również zupełnie inny świat się roztacza. Niezliczone chodniki, wykute w soli, ogromne komory, wąwozy solne, jeziora, strumyki podziemne szumiące w głębinach wiecznej nocy, wszystko to stanowi dla pracujących tam od wieków pokoleń górniczych świat inny, jakoby czarodziejski.

Nie brak tam także i legend różnych, bo te światełka majaczące w oddali, głębokie cienie pełzające po rozległych komorach, urwiska solne, dalekie pluski wód, to wszystko wywołuje przed dusze górnika szeregi widm, postaci nie z tego świata, larw przerażających, lub dobrych opiekuńczych duchów.

A dodać trzeba, iż górnik wielicki namiętnie przywiązany do swego zatrudnienia, do tych czarnych czeluści, w których ojciec, dziad i pradziad jego pracowali, do tych niebezpieczeństw, na jakie co chwilę jest narażony, i spotęgowało to w nim uczucia religijne, czego dowodem liczne kaplice, kapliczki, statuy św., przed któremi płoną lampki, kosztem górników utrzymywane. Górnik stary, lub kaleka, do ciężkich robót już nie zdolny, t. zw. „żłóbkowy“, którego zajęciem jest utrzymywanie zaskórnych wód, zgromadzonych zapomocą rynienek do miejsc stosownych, chętnie opowiada o różnych dziwach kopalni, o rzeczach, które słyszał od swych poprzedników, lub o zdarzeniach, które jemu samemu się przytrafiły. Z ust takiego weterana słyszeć można o duszach zmarłych górników, pokutujących w ciemnościach kopalni; o „białej pani“, o złośliwym „Skarbniku“, o procesyi mar i t. d. Oto kilka takich baśni górniczych.

Pewnego razu pracującemu samotnie górnikowi zagasł kaganek. Na szczęście jednak ujrzał w oddali światełko. Sądził, iż zbliża się jakiś towarzysz, który mu światła udzieli. Wtem spostrzegł, że ilość zbliżających się światełek rośnie z każdą chwilą, jakby postępował pochód górników w jakiej uroczystości. Wylękniony górnik cofnął się w szczelinę solną, gdy orszak zbliżył się ku niemu i ze swej kryjówki przypatrywał się zjawisku. Mijały go postacie poważne, nieme, w czarnych stro-

jach górniczych, z oczyma w dół spuszczonemi. Wpośród nich postępował król ze złotą mitrą na skroni, zdobną w kwiaty solne, w płaszczu z drobnych kryształków. Niesiono przed nim ognistą chorągiew, na której jaśniała kreska i trzy kółka (1000). Wtem postać ukoronowana, podpierająca się błyszczącym toporkiem, uderzyła nim w ścianę solną; ściana się rozsunęła, otwierając tajemne schody, prowadzące w dół. Tymi schodami cały pochód zeszedł na dół, poczem ściana się zamknęła. Zanim górnik oprzytomniał z przerażenia, zjawił się przed nim jakiś nieznajomy, zaświecił mu kaganek, nalał oliwy i nakazał milczenie. Oliwą tą świecił górnik przez lat 7. Zabrakło mu dopiero, gdy o tem czarodziejskiem zjawisku opowiedział.

Nikt jednak nie zdołał wytłómaczyć, co znaczyła cyła 1000, wypisana na sztandarze, niesionym przez duchów.

Pokutujące dusze, według wierzeń górników, błąkają się często wśród kopalń. Raz gdy górnicy zasiedli do południowego posiłku, usłyszeli nad sobą dziwny łoskot. Spojrzeli w górę i ujrzeli dobywające się z solnego sklepienia dwie nagie ręce, wystające do ramion, a równocześnie posłyszeli głos błagalny: „Dajta chleba, dajta światła!“ Na to jeden z górników odkroił połowę ze swego chleba, chcąc mu ofiarować, ale starszy górnik wstrzymał go mówiąc, że innego on chleba potrzebuje. I wszyscy poklękli modląc się za niego, a ręce błagalnie wyciągnięte wkrótce się cofnęły.

Pewien litościwy górnik miał zwyczaj kawałek swego chleba zawsze oddawać biedniejszemu. Gdy raz takiego towarzysza zabrakło, położył chleb na kamieniu w pobliżu, jako zwykłą ofiarę. Zamiast biednego nadszedł dyabeł w to miejsce i zjadł chleb. W piekle potem pochwalił się tym uczynkiem, lecz oburzony na niego Belzebub rozkazał mu za karę przez cały rok pomagać górnikowi w kopalni. Pomoc ta była tak wydatną, że górnik zarabiał znaczne pieniądze, których jednak nie otrzymał w całości, oszukany przez sztygarów. Gdy rok pokuty djabelskiej się skończył, w chwili, gdy miał wyjść na świat, uderzył kopytem w ścianę, wypuścił z niej strumień wody i w nim zniknął. Do jednego z pracujących górników przysiadywała się co dnia jakaś niewiasta w szacie jakby ze śniegu lub gazy osypanej lśniącemi kryształkami soli. Górnik zauważył po pewnym czasie, że odkąd nieznajoma go nawiedza, robota idzie mu lżej i ubywa jej dwa razy więcej niż przedtem. Nie widział jednak, by mu pomagała, zabawiała go rozmową, wypytując co się dzieje na świecie, lub opowiadając, iż niegdyś, przed wiekami, mieszkała w morzu, a skoro fale morskie skamieniały, zasnęła w głębinie. Gdy górnik ją zapytał, jak się nazywa, odparła: „zwę się Bieliczka“. Pewnego razu prosiła go, aby ją wyniósł na słońce, za którem bardzo tęskni. Górnik zgodził się na to, wziął ją na ręce i dziwił się niemało, nie uczuwszy żadnego ciężaru. Nie zdołał jej jednak wynieść na świat. W pewnem miejscu, już nad wejściem do szybu, pokazał jej znajdujący się tam wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego. W tej chwili „biała pani“ strasznie górnikowi zaciężyła i zamieniwszy się w oka mgnieniu w kawał soli, runęła z głuchym łoskotem na dno kopalni.

Takie to legendy i baśnie opowiadają starzy górnicy; takiemi postaciami zaludniają swoje kopalnie i wierzą w nie święcie.

E. Z.

O CHOLERZE.

Z przykładów lat ubiegłych wynika, iż epidemie cholery, rozpoczynające się w jesieni, stawały się groźnemi i rozszerzały się dopiero w następnym roku. Można więc przypuszczać, że obecna epidemia także się na razie nie zwiększy, zwłaszcza jeżeli jesień będzie chłodną. Gdyby wrzesień i październik były gorące i suche, epidemia znalazłaby podatniejsze dla siebie warunki. W każdym razie nie należy wykluczać wybuchu epidemii cholerycznej w roku przyszłym.

Miasta w dobrą wodę zaopatrzone, jak Kraków i Lwów, nie potrzebują się obawiać cholery. Szczególnie bowiem zabezpieczone są te miejscowości, które mają wodę źródlaną lub dobrą gruntową. Nie można tego powiedzieć o miastach z wodą rzeczną, szczególnie nie filtrowaną, jak to widzieliśmy w Hamburgu, gdzie w r. 1892 wybuchła cholera. To samo powiedzieć można o wsiach, położonych nad rzekami spławnemi, gęsto zabudowanych i nie posiadających dobrych studzien. Takich wsi większość mamy w Galicyi. Jeżeli więc

idzie o zabezpieczenie ludności przed cholerą, to należy przedewszystkiem postarać się o urządzenie po wsiach dobrych studzień, w miastach zaś, gdzie tylko możliwe, wodociągów, które w zamożniejszych gminach mogą być dość łatwo zaprowadzone. Również należałoby dołożyć starań, aby po wsiach z przed domów usunięto gnojówki, śmietniki i inne nieczystości, gromadzone przed domami, za których pośrednictwem najłatwiej roznieść się może epidemia po całych okolicach. Przedewszystkiem dzieci nie powinny zanieczyszczać wejścia do izby, ani kobiety wylewać pomyj przed chałupę. Powinny być urządzone wszędzie wychodki ponad gnojowiskiem poza chałupą.

Bardzo ważną rzeczą jest rozpoznanie pierwszych wypadków cholery i natychmiastowe odosobnienie chorych. Że nawet przypadki lekkiego zachorowania mogą stać się początkiem większej epidemii, dowodzi tego przykład rozszerzenia się cholery w r. 1892 w Królestwie Polskiem, gdzie epidemię przyniosła kobieta, która przyjechała z dwojgiem pozornie zdrowych dzieci do Biskupic pod Lublinem. Wtedy miałem sposobność stwierdzenia, że ta kobieta uciekła z Baku, przed cholerą wybuchłą w domu, do Rostowa, odległego od Baku o 24 godzin drogi koleją. W Rostowie jedno dziecko jej zachorowało na lekką biegunkę i od niego rozpoczęła się epidemia cholery. Mieszkańcy tego domu, w którym mieszkała kobieta, widząc, że przyniosła ze sobą zarazę, zażądali od policyi usunięcia jej z miasta, co też policya uczyniła, polecając jej wyjechać do „miejsca urodzenia", t. j. do Biskupic pod Lublinem, odległych o 36 godzin drogi kolejowej. W ten sposób w 2 tygodnie epidemia została przeniesioną przez osobę pozornie zdrową z Baku do Rostowa, a z Rostowa do Biskupic. Gdyby zamiast usuwać ten przypadek, poddano go odosobnieniu aż do zupełnego wyzdrowienia, t. j. zniknięcia z wypróżnień bakteryi cholery, epidemia w Królestwie Polskiem z pewnością nie byłaby powstała.

Epidemia szerzy się przez wodę i przedmioty, które zostają w zetknięciu bądź z wodą zanieczyszczoną, bądź z wypróżnieniami osób chorych, lub pozornie zdrowych. Dlatego też przy zachowaniu najprostszej czystości wody i produktów spożywczych, a w razie ich zanieczyszczenia przez poddanie tych produktów działaniu wody gorącej (przegotowaniu), jak również przez niespożywanie produktów surowych, pochodzących z miejscowości, gdzie wydarzyły się wypadki cholery, napewno uchronić się można od zakażenia. Ciasne mieszkania, nieczysto sporządzane pokarmy i nieregularny tryb życia, oraz nadużycia w jedzeniu i piciu (napoje wyskokowe), najbardziej usposabiają do przyjęcia się zarazka. Że człowiek żyjący normalnie, nawet w razie zakażenia, może nie uledz chorobie, dowodzą tego doświadczenia, dokonane przez badaczów ze spożyciem zarazka cholery, które po większej części nie sprowadziły dla ustroju żadnych szkodliwych następstw i tylko wyjątkowo były dla zdrowia szkodliwe. W ostatnich czasach, prócz tych sposobów, do których także należy zaliczyć troskliwe niszczenie wypróżnień, oraz desinfekcyę przedmiotów po chorych (bielizna, pościel), przybyły jeszcze nowe środki w postaci ochronnego szczepienia zarazka cholery, które się dokonuje przez wprowadzenie podskórne do ustroju zabitego zarazka. Szczepienie to jest zupełnie nieszkodliwe, jak tego dowiodły doświadczenia dokonane w Indyach, może też być istotnie skuteczne. Zaznaczyć także należy, że znajdują się w toku badania, dotyczące surowicy przeciwcholerycznej. Surowica ta jednak, jak surowica przeciwdżumowa — o ile sądzić można z dotychczasowych doświadczeń — będzie raczej godnym polecenia środkiem zapobiegawczym, niż leczniczym, albowiem cholera ma przebieg często tak gwałtowny, że po wybuchu choroby leczenie surowicą najczęściej będzie spóźnione. Natomiast zastrzyknięcie zapobiegawcze surowicy przeciwcholerycznej w rodzinie lub otoczeniu osób, gdzie zaszły wypadki cholery, może być zupełnie wskazanem.

Przepisy powinny być surowe, ale wykonalne, bo jeżeli będą ostre i niewykonalne, posłuży to zaraz do zatajania poszczególnych przypadków cholery, rzeczy najgorszej, bo zatajenie pierwszych przypadków utrudni zduszenie epidemii w samym jej zarodku.

Prof. O. Bujwid.

Nasza kultura.

Dużo mówimy i piszemy o naszej kulturze, ale ledwo przestąpimy granicę kraju naszego, ze smutkiem przekonujemy się, że

ona u nas leży jeszcze jak niemowlę owinięte w pieluchy.

Niedawno miałam sposobność przypatrzeć się kulturze pruskiej, przejeżdżając przez kawałek Śląska, Wielko-polski, Kujaw aż do Kaszubów, i jestem zachwycona tym porządkiem, tym ładem, tym taktem, jaki tam wszędzie panuje.

Ledwom wsiadła do wagonu III. klasy, a już ogromną uczułam różnicę z naszymi wagonami. Tłoku w nich niema, miejsca wyznaczone dla ilu osób są siedzenia, podłoga czysto wymyta, ani śmieci żadnych, ani nie spluta jak u nas. Personal kolejowy, to ludzie z dobrym wychowaniem, wszyscy grzeczni, uprzejmi, usłużni, wskażą drogę, pouczą, pokażą. Pociąg odchodzący z miejsca rusza cichutko, gdy u nas maszyniści urządzają sobie jakieś koncerty zapomocą puszczania pary i gwizdania przeraźliwego, że mało bębenki w uszach nie popękają. Maszynistów koniecznie radziłabym rządowi austryackiemu posyłać na naukę do Prus. Wrocław to ogromne miasto, blisko pół miliona mieszkańców mające, stolica Śląska, nie tyle swem bogactwem, ile nadzwyczajną czystością i ładem zachwyca każdego. Nie mówię już o bogatych sklepach, ale tam i w najbiedniejszym sklepiku jest czyściutko, a co najważniejsza, że i na ulicah ta czystość panuje. I pomyślałam sobie, że trzebaby tam posłać naszych włościan, którzy nie umieją jednego dymu z fajki lub papierosa puścić, żeby nie spluwać. Tam po ulicach pluć nie wolno, ani ogonka z papierosa, ani z owoców, ani żadnego papierka na ulicę nie wolno rzucić, na to w paru miejscach przy kamienicach są kosze druciane, więc do nich można śmiecie wrzucać.

Gdyby ktoś przekroczył ten zakaz i splunął, lub rzucił niedopalonego papierosa lub coś podobnego, zaraz przystępuje do niego policyant i daje mu markę, czyli jakiś znaczek, z którym trzeba iść na policyę i zapłacić karę, a ktoby tego nie chciał sam dobrowolnie wypełnić, natenczas musi iść w asystencyi policyanta, o czem zaraz ludzie źle sądzą. Niejeden mógłby powiedzieć, że to jest prześladowanie, żeby za najmniejszą rzecz karę płacić, a ja sądzę, że to jest dobrodziejstwo, bo kto niema zamiłowania w czystości wrodzonego, tego sprężysta ręka Prusaka nauczyła porządku, a gdy się przyzwyczai do niego na ulicy, zachowa go i w domu, a porządek jest podstawą nie tylko zdrowia, ale i bytu naszego. Czystość ta zachowaną jest we wszystkich miastach większych i mniejszych.

Jadąc dalej, wprawdzie tylko z okien wagonu, ale z ciekawością przypatrywałam się wsiom i gospodarstwom wiejskim, a że tam wszędzie ogromne płaszczyzny, więc ułatwiały mi moje uwagi.

Koło domów wszędzie czyściutko, zabudowania w dobrym stanie, grunta ładnie uprawiane. Jechałam w pierwszej połowie sierpnia, więc w wielu miejscach maszynami żęto zboże, widać iż tam mało rąk do pracy, bo zboże zaraz zgromadzają w jedno miejsce, ustawiają maszynę do młócenia, i zapomocą lekomobili młócą. W innych miejscach widziałam pługi, ciągnione także zapomocą lokomobili. Ludzi tam mało do roboty, bo tamtejsi mieszkańcy wychodzą do Alzacyi na roboty do kopalni, gdzie im dobrze płacą. Nasi robotnicy zastępują ich częściowo w Prusach. Wioski są ładne ale rzadkie, kościołów niewiele widziałam, ale szkoła w każdej wsi być musi, dlatego też w Prusach niema już podobno analfabetów, wszyscy czytać umieją. W dnie świąteczne umyślnie przypatrywałam się pilnie, czy nie zobaczę gdzie człowieka pijanego, alem go nigdzie nie widziała, pomimo że piwiarnie tam częste i ludzie dużo piwa piją, ale się nie upijają, dlatego też dobrobyt tam kwitnie, bo tylko porządkiem, ładem, pracowitością i trzeźwością można dojść do dobrobytu.

W. Ciechomska.

Zapewne niejedna z czytelniczek *Przodownicy* zna z czytania lub słyszenia dzieje Polski, historyę naszego narodu, a nawet może niejednokrotnie już czytała je lub słyszała, i to, co tu przeczyta, nie będzie dla niej zupełną nowością. Dzieje Polski opowiadało już tylu większych i mniejszych pisarzy, uczą ich w każdej niemal klasie szkół naszych, a mimo to tak wielu jeszcze znajduje się chętnych do słuchania o nich lub ich czytania. Dlaczego to? Oto dlatego, że dzieje narodu ojczystego nie są przyjemną i zajmującą historyjką, którą z zajęciem raz wysłuchamy, a przy powtórzeniu ziewniemy ukrad-

kiem, lecz są czemś w rodzaju modlitwy, którą każdy z nas zna i powtarza i umie na pamięć a mimo to zawsze z największem przejęciem odmawia. I jak tylekroć razy odmawiana nie powszednieje modlitwa, tak też tylekroć razy powtarzane nie spowszednieją dzieje narodu ojczystego. Bo jak tamta czci i sławi Stwórcę i Dawcę wszechrzeczy, tak te sławią i czczą wielką przeszłość, która z nas zrobiła to, czem jesteśmy, dzieci wielkiego, silnego narodu, którego żadne wysiłki dotąd ugiąć nie zdołały; jak tamta ma za treść coś świętego, tak i te odległą, zamierzchłą przeszłość naszą w gloryi świętości do wiadomości podają.

Pozwoliłam sobie na tych kilka słów do czytelniczek i przystępuję do tematu, który już wielokrotnie przede mną bywał opracowywany, przystępuję z drżeniem wzruszenia i trwogi, jaki w nas budzi majestat.

PIASTOWIE.

W dawnych, bardzo dawnych czasach, kiedy jeszcze ziemię naszą pokrywały gęste bory, tak wielkie, że nie było człowieka, któryby je całe przeszedł, zwiedził i wiedział, gdzie się kończyły — w czasach, gdy jeszcze nie było na polskiej ziemi ni miast bogatych, ni murowanych grodów, panował w ziemi polskiej okrutny książę Popiel. Drewniany gród, Kruszwicą zwany, był jego siedzibą. Nad malowniczem jeziorem Gopłem położony, przeglądał się w błękitnych jego falach, przyglądał się samemu sobie, jakby się dziwił i wiecznie o coś pytał. Pytał się gród ten wielki, stary, jaka to klątwa nad nim wisi? Dlaczego w murach jego tak smutno, ponuro; dlaczego rozbrzmiewa tam szczęk oręża tylko i jęki, brzęk szklanic i gniewny głos pana, lub ostry, suchy szept pani? Pytał się więc modrego zwierciadła, lecz ono mu tylko jedną odpowiedź dawało: pokazywało mu posępne, wielkie mury, a szmer cichych fal jego nie chciał zdradzić ukrytych tajemnic.

A może jego jasne fale nie widziały, co się w lochach i kaźniach zamczyska działo? Wiedzieli o tem ludzie okoliczni, którzy truchleli przed panem zamczyska Wiedzieli oni, jak książę Popiel do grodu dwunastu swych stryjów zaprosił. Księżna zatruty miód przygotowała. Miód złoty, wonny! Tym miodem struci w mękach się wili i w mękach konali, a samowładny, od ich uwag i strofowań uwolniony, książę śmiał im się w oczy szyderczo, a z ust jego jedne biegły wyrazy: Teraz mi już przeszkadzać nie będziecie! Karygodny i zbrodniczy czyn księcia wzbudził przeciw niemu jeno większą niechęć; nie pozbył się wrogów Popiel, ale stworzył nowych, a rozruchy, jakie wskutek tego wybuchły w kraju, nie przyczyniały się do polepszenia jego doli. Książę Popiel, przez żonę spokrewniony z Niemcami, z ich pomocą spodziewał się lud uspokoić, więc zamykał się jeno szczelnie w swym grodzie, a mszcząc się za niepokoje, powiększył jeszcze srogość swoich rządów.

Przeliczył się jednak z siłami. W nierównej walce uległ, a na tron książęcy wyniesiono rolnika, kołodzieja Piasta. Liczne opowieści i podania towarzyszą owemu zdarzeniu dziejowemu. W obiorze Piasta upatrywano szczególny palec Boży, z tego powodu, iż rzeczywiście z tą chwilą nastąpił zwrot pomyślny dla narodu. To też z tą chwilą łączono później coraz to nowe opowiadania, aby ukochaną postać założyciela wielkiej dynastyi Piastów otoczyć jak największą aureolą.

Znanem powszechnie jest podanie o aniołach, którzy w postaci podróżnych zjawili się w owym czasie na ziemi polskiej, a nie znalazłszy gościny w pałacu Popiela, nawiedzili ubogą chatę Piasta. Wysłańcy Boży, przyjęci gościnnie przez niezamożnego rolnika, wywdzięczyli mu się za to przepowiednią świetnego losu dla niego i jego potomków.

Jedno z mniej znanych podań opowiada inną znów przepowiednię, tyczącą się Piasta. Oto wedle podania po księciu Popielu miał otrzymać tron książęcy ten, kto na żelaznym stole będzie jadać. Kto żył, kto mógł, sprawiał żelazne stoły i jadał na nich w nadziei, że kiedyś zostanie władcą kraju. Nie myślał o tem Piast poczciwy a spokojny rolnik. Zamiary wywyższenia dalekie były od jego prostej, skromnej duszy. Pewnego razu jednak, gdy mu żona wyniosła w pole obiad, oglądnął się, na czem by spożyć swój skromny posiłek, a że nic innego na okół nie było, wyciągnął pług swój z nadpoczętej skiby, przewrócił go i jadł... na żelaznym stole.

Więc może, wywdzięczając się za spełnioną przepowiednię, Piast po obiorze wedle słów poety — „rozkazał pług swój postawić przy tronie“.

Nie będę przytaczać tu więcej tych legend i przepowiedni. Są to wszystko jeszcze czasy bajeczne, t. j. takie. co do których nie mamy pewnych wiadomości. Z bajecznych tych czasów wzięłam postać Popiela, ponie-

waż ona jest koniecznie złączona z postacią Piasta. Na czas ten śmierci Popiela i obioru Piasta przypadł jakiś większy przewrót w dziejach Polski, kończy się jedna mało znana epoka a zaczyna druga, którą później rozjaśniło światło wiary i wiedzy, i o której wiadomości pewne przechowały się do dnia dzisiejszego.

Piast istniał, bo od niego wziął początek ród Piastów. Poza tem gubimy się znowu w mrokach przeszłości aż do Mieczysława I., tego księcia polskiego, który przyjął wiarę chrześcijańską.

Do tej pory Polacy byli poganami. Nie znali prawdziwej wiary, którą nam Boski Zbawiciel przekazał. Mieli inną wiarę: wierzyli w liczne bóstwa, z których każde dawało im jakieś dobro lub zło, a wiara ta ich była spokojna i łagodna jak ich usposobienie. Światło prawdziwej wiary chrześcijańskiej wciskało się do nich od sąsiadów z zachodu. Nie godzili się z początku na nową wiarę Polacy. Nie tak to łatwo rozstać się z tem, w czem nas rodzice chowali, co w nas wszczepiali, czego nas od młodości uczyli.

Na książęcym dworze zjawiali się chrześcijańscy kapłani. Czasem synowie polscy, przez dłuższy czas w posługach książęcych tam przebywający lub przez księcia do sąsiednich Czech wysyłani, mieli sposobność zetknąć się z tymi, co nieśli światło prawdziwej wiary, którzy przybyli tu tylko po to, by naród polski pozyskać dla słodkiej nauki Zbawiciela. Nie łatwo to było! Lud trwał przy swej wierze. Powoli jednak zjawiać się poczęli Polacy chrześcijanie. Powrócił syn do ojcowskiej zagrody; nie było go długo, bawił bywało w Czechach albo przy księciu. Wrócił, ale jakiż inny. Już on nie wierzy w ojców bogi, nie czci bałwanów, ani świętych gajów, nie chodzi ze swoimi na wspólne obrzędy, jeno w cichości, w ukryciu wyjmuje mały krzyżyk, uklęka i modli się gorąco. A kiedy go zdziwieni pytają, co robi, on im o nowym Bogu opowiada, o słodkim, dobrym, miłosiernym Jezusie, co na świat przyszedł, ażeby ludzi zbawić, co ich przykładem swoim i słowy swoimi uczył, że mają żyć wspólnie się kochając, miłując nawet swe nieprzyjacioły i dobrze czyniąc tym, co nam źle życzą Ach! i co więcej, opowiada — nie poprzestał na tem, lecz życie swe położył dla zbawienia ludzi, między którymi miał przecież tylu nieprzyjaciół. I jakiż był skutek takiej mowy? Ha! rozmaity. Czasem opowiadania te zyskiwały zwolenników, a nowo ochrzczony cieszył się, że dla wiary świętej pozyska dusze tych, których najbardziej kochał. Czasem znów inaczej bywało. Potępiony od swoich, przeklęty i odepchnięty, w cichości serca mógł tylko wyznawać nową wiarę, bolejąc nad tem, że oczy jego ukochanych zamknięte są jeszcze na światłość świata. Ale powoli wyznawcy nowej nauki zyskiwali sobie podziw, cześć i uwielbienie. Pokorni, cisi, miłosierni i dobrzy zniewalali oporne serca i dusze. Posiew wiary świętej wschodził coraz bujniej na polskiej ziemi.

Książę Mieczysław, przyjąwszy wiarę chrześcijańską, uczynił ją panującą religią w swem państwie. Nawrócenie jego nie było też dziełem jednej chwili. Dwór książęcy roił się od księży i chrześcijan, zwłaszcza gdy serce Mieczysława wybrało księżniczkę czeską Dąbrówkę i książę zapragnął posiąść piękną chrześcijankę za żonę. Dąbrówka z cierpliwością wielką przeprowadzała dzieło nawrócenia Mieczysława i doprowadziła je do pięknego rozkwitu. A przeszkód miała niemało. Na wieść o nowej wierze szły prośby do księcia. Lud, przywiązany do starych bogów, nie chciał się ich wyrzec Co wpływ Dąbrówki wzmocnił księcia w wierze, to znów prośby i groźby cofały go w obranej drodze, przyprawiały o wahanie i wątpliwości.

Zdecydowawszy się nakoniec, przeprowadzał Mieczysław dzieło nawrócenia gruntownie i sumiennie.

Na rozkaz jego niszczono bałwany, święte gaje, zalewano ogień wieczny, by na miejsce bóstw dotychczasowych stawiać świątynie jedynemu Bogu. Książę wraz z bogobojną żoną i dworem całym objeżdżał osady, by być obecnym przy dokonywaniu tych wielkich zmian. Obecnością swoją i swoim przykładem chciał wzbudzić ufność w ludzie, który z trwogą i niechęcią patrzał na nowy dla niego znak krzyża.

Nie wystarczyło panowanie Mieczysława, by gruntownie nawrócić lud polski z pogaństwa. Z urzędu i powierzchownie byli nowonawróceni chrześcijanami, bliżej ludzi i świata przewrót ten dokonywał się szybciej. Ale w niedostępnych, leśnych osadach, w rzadko odwiedzanych i od wielkich siedzib oddalonych wioskach silnie trwał naród przy dawnych bogach, i dawna wiara silnym prądem nurtowała wśród narodu, skoro w kilkanaście lat później, po śmierci syna Mieczysławowego Bolesława, w czasie zamętu wojennego i we-

wnętrznej w państwie rozterki pogaństwo na czas jakiś głowę podniosło i chwilowo odżyło.

Mieczysław wstąpił na tron w roku 962, wiarę chrześcijańską przyjął w r. 966, panował zaś do r. 992.

W dwa lata po przyjęciu wiary założył pierwsze biskupstwo w Poznaniu. Na tronie biskupim zasiadł biskup Jordan.

Przyjęcie wiary chrześcijańskiej wpłynęło bardzo dodatnio na podniesienie się Polski pod względem politycznym. Sąsiadujący z ludami słowiańskimi, a jednym z tych właśnie był naród Polski — Niemcy, dzierżąc w ręku krzyż, miecz i pochodnię oświaty, oddawna napierali na stojące niżej od nich sąsiednie ludy słowiańskie i narzucały mu przemocą wiarę, oświatę i panowanie. Pod pozorem nawracania, a także i przy wykonywaniu tego zadania podbijali słowiańskie kraje, narzucając swe panowanie. Kiedy Mieczysław przyjął wiarę chrześcijańską, ustał powód do napaści. Nie było potrzeby mieczem nakłaniać do przyjęcia nauki Zbawiciela, i wygodny płaszczyk, służący do ukrywania zaborczych instynktów, okazał się już całkiem zbytecznym. Nie idzie zatem, by Niemcy z tą chwilą usposobili się dla Polski pokojowo. Świeżo tworzącego się i w rząd państw chrześcijańskich dążącego państwa nie chcieli oni uznać za równe, potężnej ich i dawnej monarchii. Jako następcy cesarzy rzymskich mieli wysokie pojęcie o swej godności i uprzywilejowanem stanowisku w rzędzie mocarstw świata.

Niemcy uważali więc naszego Mieczysława I. nie jako samodzielnego króla Polski, lecz księcia polskiego a poddanego cesarzowi niemieckiemu, i jakkolwiek Mieczysław nie pozwolił im mieszać się do wewnętrznych spraw państwa, ani do własnych rządów i w zatargach granicznych z margrabiami niemieckimi stawiał się ostro i dzielnie, mimo to nie chciał zbytnio sprzeciwiać się cesarzowi niemieckiemu i dopełnił względem niego formy, na której silniejszemu władcy tak bardzo zależało, t. j. złożył hołd cesarzowi. Był to ze strony Mieczysława krok nader roztropny. Nie chciał bowiem Mieczysław narażać swe państwo na nierówną dziś jeszcze walkę z sąsiadem, zostawił następcom swoim tryumf zdobycia zupełnej samodzielności i uwolnienia się od zewnętrznego aktu poddaństwa, sam umiarkowanem postępowaniem i roztropnemi rządami przygotowywał grunt do tego, zyskując z jednej strony poważanie od cesarzy niemieckich, z drugiej zaś podnosząc w siłę i środki własne państwo.

Na wchodnich granicach państwa poniósł straty. Oto książę ruski, jego sąsiad, Włodzimierz Wielki zabrał mu Ruś Czerwoną, a książę czeski Bolesław Pobożny także mu z innej znów strony nadszarpnął państwo.

W roku 992 umarł Mieczysław, pierwszy historyczny władca państwa polskiego, które rozciągało się od Odry aż poza Wisłę. Umarł po 30-letniem panowaniu, spokrewniwszy ród swój z rodami królewskimi panującymi w Węgrzech, Danii i Anglii, płakany i żałowany przez naród cały, uczczony w kronikach nazwami: wielki, sławny, wiekopomny, najpierwszy i najjaśniejszy.

J. Nowosielska.

Biała, we wrześniu 1905.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Napoje alkoholowe.

Dla ugaszenia pragnienia używamy napoi. Najłatwiej i najzdrowiej gasić pragnienie zapomocą napoju, który sama przyroda daje wszystkim istotom żyjącym na świecie — zapomocą czystej wody.

Wielu ludzi nie zadawala się wodą, bo szukają w napojach rozweselenia i odurzenia. Piją w celu zyskania dobrego humoru. Używają więc napojów odurzających, alkoholowych, a mianowicie: wódki, koniaku, rumu, araku, wina, piwa, miodu syconego, wina owocowego, likierów i t. d. Wszystkie te napoje zawierają w sobie prócz wody i różnych domieszek — alkohol.

Alkohol czyli wyskok wytwarza się w takich cieczach, w których jest rozpuszczony cukier. Jeżeli zrobimy zacier z kartofli, albo z mąki żytniej, albo ze słodu jęczmiennego, albo z innego płodu, zawierającego dużo skrobii (krochmalu) i przetworzymy chemicznie tę skrobię na cukier, to wówczas będziemy mieli zacier z roztworem cukru. Gdy teraz domięszać do tego trochę drożdży, to drożdże, które są malutkimi niewidzialnymi grzybkami, mającymi kształt pęcherzyków, rozmnażają

się bardzo szybko w tym roztworze. One się karmią cukrem i rozszczepiają go na kwas węglowy i alkohol. Kwas węglowy ulatuje w postaci tysięcy malutkich pęcherzyków z cieczy, a alkohol pozostaje rozpuszczony w wodzie. Ciecz burzy się, fermentuje. Ze skrobii powstał cukier — z cukru zaś alkohol. W jagodach i owocach jest już gotowy cukier. Wystarczy wycisnąć sok z owoców lub jagód, dodać drożdży i sok fermentuje. Taki przefermentowany zacier z kartofli, żyta lub słodu, albo też przefermentowany sok owocowy jest już gotowym napojem alkoholowym.

Przefermentowane soki z winogron nazywają winem, z innych zaś jagód lub owoców — nazywają winem z jagód lub winem owocowem. Przefermentowany cukier ze słodu, z dodatkiem chmielu — nazywa się piwem. Zamiast pożywnej skrobii i pożywnego cukru jest tam alkohol, który wcale nie dodaje pożywienia, lecz tylko odurza i rozwesela, przynosząc wielką szkodę zdrowiu. Alkohol jest trucizną.

Czyż nie lepiej jeść świeże owoce lub jagody, albo pić świeży sok owocowy, jako bardzo zdrowy pokarm lub napój, niż raczyć się przefermentowanymi sokami, z których drożdże wyssały już energię (siłę) na swoją korzyść i spijać truciznę?

Przefermentowanego zacieru z kartofli lub żyta nie piją, lecz grzeją je na ogniu w wielkich kotłach zamkniętych u góry. Z pokrycia kotła wychodzi rura w górę, która się potem zakrzywia na dół. Koniec rury, w dół wpuszczony, oziębiają sztucznie zzewnątrz zimną wodą. Para alkoholu ulatuje przez rurę i pod wpływem oziębienia z tej pary skrapla się wyskok (alkohol,) który wypływa z końca rury do naczyń. W ten sposób otrzymuje się spirytus albo okowitę, a przez rozcieńczenie ich wodą — wódkę. Wódka jest alkoholem zmięszanym z wodą, zanieczyszczonym rozmaitymi innymi składnikami, które parowały razem z alkoholem z zacieru. Ale wszystko, co nie paruje, nie może przedostać się z zacieru do wódki, chyba, że fabrykanci później jakieś dodatki do niej przymięszają.

Takie ogrzewanie cieczy, aby parowała i skraplanie pary w rurach, aby z niej znowu ciecz otrzymać, nazywa się destylacyą (przekraplaniem). Wódkę otrzymuje się przez dystylacyę, tak samo z przefermentowanego soku winogron przez dystylacye otrzymuje się koniak, z melassy fermentowanej — rum. Destylując przefermentowany zacier ryżu — otrzymują na wyspach Kubie i Jamajce — arak. Wódka, koniak, rum, arak są to destylowane napoje alkoholowe, albo palone, bo się pod kotłem pali ogień podczas ich fabrykacyi. Otrzymują się one w fabrykach, które nazywają gorzelniami, bo w nich ogień gorze.

Natomiast piwo, wino, miód sycony i wina owocowe są to napoje alkoholowe niedystylowane, bo ich się nie dystyluje, lecz używa po przefermentowaniu.—Likier jest to wódka z dodaniem dużej ilości cukru i olejków pachnących.

Wódka zawiera około 40% czystego alkoholu, koniak, rum i arak zawierają 50% do 60% alkoholu i są bardzo szkodliwe.

Wina zawierają 5% do 20% alkoholu, piwa i wina owocowe — 3% do 7% alkoholu. Napoje alkoholowe są tem bardziej szkodliwe, im więcej alkoholu w sobie zawierają.

Dr. Augustyn Wróblewski.

Wieści ze świata.

Zakończenie wojny rosyjsko-japońskiej.

Obecnie miniona wojna rosyjsko-japońska, która trwała przeszło półtora roku, zapisana jest jako jedna z największych w historyi świata. A że i ludzi setki tysięcy w niej zginęło, więc wielcy dyplomaci z innych krajów wdali się w to, ażeby wojnę zakończyć. Prezydent Ameryki północnej Roosevelt zajął się tem gorliwie i do jednego z miast amerykańskich zaprosił pełnomocników rządu japońskiego i rosyjskiego dla ułożenia warunków pokojowych i podpisania traktatu. — I w mieście amerykańskiem Portsmucie ze strony Japonii baron Komura, z Rosyi Witte wraz z ambasadorami swych rządów, którzy w tem mieście mieszkają, obradowali nad warunkami pokoju, odnosząc się telegraficznie do swych monarchów.

Początkowo Japonia stawiała dość twarde warunki pokojowe, ale Rosya, nie chcąc się uznać za zwyciężoną, powiedziała, iż ani je-

dnego rubla nie zapłaci za odszkodowanie wojenne. Cesarz japoński (Mikado), chcąc okazać się szlachetnym, zrobił ustępstwa i przyjął warunki proponowane przez Rosyę.

Japonia osiągnęła i tak wielkie korzyści, bo wszystkie te miejsca, które dawniej należały do Rosyi, a dziś zajęte przez Japończyków, zostaną przy nich. Do tych należy: Port Artura i połowa Sachalinu, na którym rybołostwo ważne jest bardzo dla Japonii. Kawałek kolei żelaznej, którą Rosya miała w Mandżuryi i kopalnie węgla w Futan i Jentaj, a także wolną rękę działania na Korei.

Korea jest nieduży kraj, zwany przez jednych „krajem różannym“, przez innych „krajem wiecznej wiosny“, bo klimat tam łagodny i ciepły, lecz pomimo tego mieszkańcy są jakby ospali, leniwi i bez żadnej energii. Ziemia tam dobra i prawie bez uprawy rodzi im wszystko, cokolwiek w nią wrzucą, dlatego też mieszkańcy są tak rozpróżniaczeni. Teraz, gdy tą Koreą rządzić będzie Japonia, zachęci ludność do pracy, do handlu i kraj się wzbogaci.

Rząd japoński uważa korzyści, jakie osiągnął, za dostateczne, ale naród japoński zgodzić się na nie nie chce i żąda zerwania traktatu. Wskutek tego w tej naszej idealnej Japonii są zaburzenia przeciwko rządowi i przeciwko wszystkiemu, co europejskie — a nawet zburzono kilka kościołów prawosławnych i ewangelickich. Admirał Jamagata oświadczył, że mimo wielkiego rozgoryczenia z powodu warunków pokoju, należy wziąć pod uwagę, że gdyby wojna dalej trwała, musieliby zaraz przystąpić do zdobywania Władywostoku, który jeszcze silniejszą jest twierdzą, niż był Port Artura, kosztowałoby znowu tysiące ofiar, bo pod Portem Artura zginęło podobno 50.000 Japończyków. Dlatego, mówi Jamagata, trzeba się zadowolić obecnymi warunkami pokoju.

Pomimo że pokój był już zawarty, małe utarczki w Mandżuryi trwały jeszcze ciągle, dopiero ustały, gdy 1 września ogłoszono urzędownie zawieszenie broni.

Odszkodowania wojennego car zapłacić nie chciał, ale za utrzymanie jeńców musi zapłacić, ile mu każą, a jeńców tych musi być sporo, bo 18 dużych okrętów popłynęło już po nich, skąd pierwszy transport wyruszyć miał 20 września.

I my wszyscy, którzy pragnęliśmy większego pognębienia Rosyi, nie jesteśmy zadowoleni z takiego zakończenia wojny. Za tyle czynów bohaterskich, za tyle ofiar w ludziach Japonia więcej zyskać powinna.

O przyjaźni Japonii.

Donoszą z Petersburga, iż w otoczeniu cara, coraz śmielej i liczniej odzywają się głosy, przemawiające za przyjacielskiem zbliżeniem się do Japonii, a nawet za zawarciem z nią sojuszu. Zwolennicy tego kierunku politycznego występują obecnie tem otwarciej i energiczniej, ponieważ z drugiej strony partya wojenna w otoczeniu cara, dziś już myśli o odwecie za poniesione klęski. Każda też z tych stron na swój sposób zapatruje się na nowy sojusz angielsko-japoński, i jego następstwa dla Rosyi. Partya wojenna twierdzi, że będzie on bodźcem dla Japonii do większego jeszcze rozszerzenia jej przewagi w Azyi i że to rychło doprowadzi do nowego starcia z Rosyą; partya pokojowa natomiast radzi właśnie sojuszem z Japonią utrudnić możliwie wrogi dla Rosyi kierunek angielsko-japońskiego przymierza.

Z Nowego Jorku donoszą: słychać tu, że baron Kaneko, którego misya w Stanach Zjednoczonych nie była dotychczas należycie wyjaśniona, otrzymał od mikada polecenie, ażeby starał się o zawarcie traktatu handlowego między Japonią a Stanami Zjednoczonemi. Opinia publiczna w Ameryce jest przychylnie usposobiona dla zawarcia takiego traktatu.

Traktat angielsko-japoński.

Niekotenci byli Japończycy, a nawet i my wszyscy, którzy pragnęliśmy Rosyę widzieć zgnębioną, że mikado tak łatwe zrobił ustępstwa i zawarł traktat pokojowy. Aż teraz dowiadujemy się, iż bodźcem do tego była Anglia, która teraz jeszcze ściślejsze przymierze z Japonią zawarła. Anglia, mając posiadłości swoje w Indyach, sąsiaduje niejako z Japonią, i dlatego sojusz z nią wielką jej korzyść przynosi. Dla Anglii jest o wiele łatwiej i korzystniej zorganizować wielką flotę, dla Japonii zaś łatwiej uruchomić wielką armię lądową. I w danym razie, gdyby potrzeba się okazała, wspólnie pomagać sobie będą. Na przykład, gdyby Rosyi zachciało się zaczepić Anglię, w takim razie Japonia mogłaby zająć północną część Sachalinu, zaatakować Władywostok i zagrozić Syberyi. Działania takie musiałyby rozdzielić siły rosyjskie na dwie części, zwłaszcza, że Japończycy pod osłoną floty wojennej angielskiej, w krótkim czasie

mogliby przewieźć tyle wojska na lądy rosyjskie, ileby uważali za potrzebne. Wielka potęga sojuszu angielsko-japońskiego w tem leży, iż jest osłoną dla Indyi, i zapewnieniem utrzymania pokoju w Azyi wschodniej.

Odbudowanie floty rosyjskiej.

Rząd rosyjski przeznacza 50.000.000 rubli na odbudowanie floty, która ma być w 5-ciu latach gotową, a sporządzać ją mają robotnicy amerykańscy. Widocznie Rosya nie zechce długo zwlekać z odwetem, by pomścić doznane klęski.

Bitwa pod Cuszimą przed sześciuset laty.

Nie pierwszy to raz zapisała się wyspa Cuszima w dziejach Japonii wielkim zwycięstwem. Już raz u jej brzegów zginęła wielka flota i wielka armia, o czem wiadomość zachował znany podróżnik europejski Marco Palo.

Najpotężniejszym władcą Azyi był w roku 1270 Kublaj chan. Zdobył już całe Chiny, wziął Koreę, łaknął jeszcze Japonii, tem bardziej, że opowiadano mu dziwy o bogactwie, jakie jest w państwie wschodzącego słońca. Że sam pałac mikada szczero złoty wart trudu zbrojnego najazdu.

Aby mieć dokładne wiadomości, wysłał Kublaj chan do Japonii jednego ze swoich powierników. Jedź, miej oczy i uszy otwarte, abyś, wróciwszy, mógł powiedzieć, w jaki sposób najłatwiej rzucić pod moje stopy tych nieznanych bogaczów. Wysłaniec pojechał, bawił w Japonii cały rok, badał kraj bardzo uważnie, a wróciwszy, ostrzegł. — Japonia jest krajem górzystym, przeciętym mnóstwem rzek, bardzo trudnym do zdobycia, a tem trudniejszym, że broni go lud wyćwiczony, przywykły do wojny i lubiący wojnę. Nie radzę próbować. Ale Kublaj chan roześmiał się i zawołał. Zobaczymy czy ta hałastra oprze się mej sile! — Tak pewny był zwycięstwa, że posłał tylko 15 000 wojska, kazawszy tę gromadkę wzmocnić posiłkami z Korei. Zdziwił się, pienił się ze złości, gdy mu niedobitki armii donieśli, że Japończycy rozbijali w puch jego mongołów.

Takiej klęski nie mógł strawić najpotężniejszy władca Azyi. Więc przygotował się do drugiej wyprawy, ale tym razem postanowił zgnieść liczbą, zarzucić czapkami zuchwałych wyspiarzy. Sto dwudziestu pięciu tysiącom mongołów kazał wsiąść na koń (armia na owe czasy olbrzymia). Dziewięćset okrętów przygotował do przewozu wojska z Korei do Japonii, najlepszych wodzów swoich Walenhona, Fawenhna i Watahai, postawił na czele potężnej armii.

Wielka ta armia pewna zwycięstwa jak i jej władca, maszerowała przez Koreę i przybyła latem 1281 roku do portu Fuzan, skąd trzeba się było przeprawić morzem do Japonii. Po drodze jednak była wyspa Cuszima, bardzo wygodna do pomieszczenia licznego wojska, żywności i broni. Tu na wyspie założono obóz, z niej popłynęła pierwsza połowa armii do Japonii.

O Japończykach tym czasem nie było ani słychać, jak gdyby nie wiedzieli nic o wojnie. Czasem tylko gdzieś na widnokręgu zdala, zamajaczył jakiś okręcik, postał, popatrzył i znikł.

Uradowali się mongołowie, że zdobędą Japonię bez wypuszczenia jednej strzały, i zbliżyli się ochoczo do brzegów.

Ale brzegi zaszumiały nagle chmurami strzał. Sypały się pierzaste, celne pociski ze wszystkich stron, z boków i z góry; ani sposób dostąpić do ziemi samurajów*). Przez dziesięć dni ponawiali mongołowie ataki, lecz zawsze odparci z wielkiemi stratami; jedenastego dnia dobiła ich burza; poszli wszyscy na dno morza ze swemi okrętami.

Drugą połowę armii Kublaja chana zniszczyli Japończycy, otoczywszy wyspę Cuszimę tak doszczętnie, iż do Mongolii z wieścią o strasznej klęsce wróciło trzech tylko, którym Japończycy darowali życie, aby pysznemu władcy Azyi mogli donieść o strasznej klęsce.

Głód w Rosyi i jego przyczyny.

Nad Rosyą zawisło groźne widmo głodu. Straszna ta klęska nawiedza Rosyę prawie co cztery lata. Może się to wydać dziwnem, ale nie przestanie być prawdziwem, że w Rosyi wszystko, co istnieje, co działa i co nie działa, świadomie i nie świadomie, dąży do jednego celu, do wygłodzenia mas ludowych. Od połowy zeszłego wieku zmiany w naturze gospodarstwa i we władaniu ziemią przyczyniły się do tego, że ogłodzenie to zaczęło od czasu do czasu przybierać formy bardzo groźne, prowadząc z nadzwyczajną szybkością do ruiny gospodarczej naród i państwo Wielkie głody rosyjskie ostatnich czasów miały zawsze okropne znaczenie dla polityki wewnętrznej caratu, który, zapobiegając przewidywanym bun-

*) Tak zowią szlachtę japońską.

tom i zaburzeniom, powiększał zawsze z tego powodu powszechny ucisk. Dziś jednak głód, który już teraz rozciąga się na 25 gubernij, dzięki zbiegowi nadzwyczajnych okoliczności, nabiera również nadzwyczajnego znaczenia politycznego.

Wieśniacy w Rosyi posiadają bardzo mało ziemi i, gdy rodzina jest większa, nie mogą się wszyscy wyżywić, a to jeszcze i podatki trzeba płacić. Gdy dzieci dorastają, te małe grunta jeszcze na mniejsze cząstki się dzielą. W innych państwach, gdy rolnik posiada mało ziemi, zabiera się do jakiegoś rzemiosła lub innego przedsiębiorstwa i powodzi mu się często lepiej niż na roli, ale do Rosyi oświata jeszcze nie doszła i rolnik uprawia swoją rolę tak, jak ją uprawiał jego dziad i pradziad, a gdy się nie może wyżywić, umiera z głodu, a nie szuka innego sposobu do życia. Tak było dotąd, ale teraz, kto wie, czy i lud nie zechce przystąpić do zbuntowanych tłumów, gdy mu braknie chleba. Tem bardziej, gdy z Mandżuryi lub z niewoli japońskiej powrócą żołnierze zdemoralizowani, zniechęceni, że ich tak na pewną rzeź wysyłali, gdy przyjdą do domu na odpoczynek, nie będą się mieli czem posilić, co wtedy będzie? Jeżeli ta nowo mająca powstać Duma czyli sejm nie pomyśli o tem zawczasu, żeby złemu zaradzić, to może dojść do bardzo smutnych następstw.

Z za Oceanu.

Wśród stowarzyszeń polskich w Ameryce północnej dokonuje się obecnie ruch, mający na celu większe zespolenie rozproszonych sił, wytworzenie jednego wielkiego związku narodowego.

Największą dotychczas organizacyą polską w Stanach Zjednoczonych był Związek Narodowy Polski, liczący przeszło 40.000 członków, on też dziś stał się osią tego ruchu. Niedawno przyłączył się do niego Związek gwiazd sokolskich, za jego przykładem poszedł Związek towarzystwa śpiewu. Obecnie „Związek Młodzieży Polskiej“ zwraca się do wszystkich towarzystw kadeckich, żeby połączyły się z nim do wspólnej pracy, w jedno ognisko.

Do ich odezwy dodaje „Zgoda“. Rzeczywiście byłoby bardzo dobrze, aby tak zwane korpusy wojsk polskich i różne towarzystwa wojskowe jakie są w Ameryce, wstąpiły do jednego wielkiego Związku Narodowego, i we wnątrz jego połączyły się w jeden związek wojskowy, dzielący się dla wygody na korpusy ziemskie.

Nie darmo Polacy nazywają niektóre prowincye amerykańskie „Nową Polską“. Bo też każdy, kto w niej dłużej mieszka, nauczy się nie tylko pracować, ale i żyć uczciwie i myśleć poważnie. Dowodem tego jest to Towarzystwo, które pracuje nad tem, żeby się wydoskonalić w sztuce wojskowej, ażeby w danym razie, gdyby Ojczyzna nasza potrzebowała pomocy, kilkadziesiąt tysięcy regularnego wojska, mogło stanąć w jej obronie.

W Chicago odbyła się wielka zabawa na dochód Biblioteki i polskiego Muzeum. Zabawa udała się wspaniale, i obydwom tym towarzystwom znaczny dochód przyniosła.

Dr. H. Kałusowski, syn zacnej pamięci założyciela tejże Biblioteki i Muzeum związkowego, nadesłał już po raz drugi w darze dla tych instytucyi, pakę cennych druków dokumentów i rycin. Między innemi fotografie kilkudziesięciu Polaków, którzy służyli w wojsku Stanów Zjednoczonów podczas wojny domowej.

Dąb pokoju.

Z Nowego Jorku donoszą, iż rosyjski pełnomocnik Witte, przed odjazdem zasadził u grobu Jerzego Waszyngtona dąb pokoju, z którego latorośle później przewiezione będą do Rosyi.

Wrzenie na Kaukazie.

Tatarzy przypomnieli sobie, czem byli ich przodkowie, i idąc w ich ślady, hulają. Na Kaukazie mordy i pożogi szerzą się okropne. Całe osady Ormian nikną pod nożem tatarskim. Tatarzyn jak dzikie zwierzę, raz zakosztowawszy ciepłej krwi chrześcijańskiej, upaja się nią, wpada w szał i niema miary jego okrucieństwom. Mordują bez litości starców i dzieci, bezczeszczą i porywają do swych haremów młode kobiety i dziewczęta. Rabują i bezczeszczą kościoły, zabierają ich mienie i dobytek, a całe wsie palą. Nieszczęśliwi Ormianie, udając się do władz rządowych o opiekę, nie mogą nic uzyskać, bo władze, lękając się przeważnej siły, nie chcą się w to mieszać.

W Baku rewolucyoniści podpalili studnie naftowe w liczbie 3000, z której to miejscowości nafta dostarczaną była prawie całej Rosyi. Towarzystwo naftowe straciło na tem około 86,000.000 rubli i ci, co niedawno byli milionerami, dziś są dziadami.

Do Baku przybył jenerał Gugorkow z artyleryą, żeby uspokoić miasto. Około 1000 ludzi zamknęło się w jednym ze szpitali. Gdy wezwano ich do opuszczenia budynku, odpowiedzieli na to kamieniami i kilku żołnierzy zabili. Na to komendant kazał wytoczyć dwa działa i dać jeden strzał ślepy, a drugi następnie ostry. Pocisk zrobił w szpitalu wielkie spustoszenie. Armeńczycy wypadli na ulicę, zabrali armaty, a żołnierzy oblali surowcem nafty, poczem ich podpalili. Cały oddział wojska płonął jak żywe pochodnie. Żołnierze ginęli wśród strasznych męczarni. Piechota i konnica podążyła na pomoc, ale nie mogli przedrzeć się wśród dymu i ognia.

Z Tyflisu donoszą: Miasto przepełnione jest zbiegami z Baku, którzy uciekli, zostawiając całe mienie bez opieki. Tatarzy podpalili wszystkie gorzelnie i przędzalnie jedwabiu w Suszy. Część robotników uciekła w góry, innych pomordowano. Wiele kopalń nafty zburzono, robotników osaczyli Tatarzy.

Według doniesienia wicekróla Kaukazu, władze mają w ręku dowody, że ruch muzułmański kierowany jest z zagranicy i był dobrze przygotowany. Kozacy odkryli dwa składy broni. Wszędzie rozrzucono odezwy tureckie i tatarskie z napisem: „Niech żyje islam! Śmierć giaurom!“

Z Londynu donoszą, że wysłaniec rewolucyjnych komitetów na Kaukazie, z początkiem czerwca przybył do Londynu i zwrócił się do posła japońskiego p. Hagasaki z prośbą, aby Japonia wspomagała materyalnie rewolucyę. Pieniądze miały być użyte na zakupienie broni. Wysłannik zapytany, jak przewiezie broń do Rosyi, odpowiedział, że nie jest to wcale trudnem, gdyż wśród urzędników cłowych znajduje się wielu rewolucyonistów. Hagasaki mimo tego odmówił, zaznaczając, że Rosya zgodziła się już na udział w konferencyi pokojowej, więc byłoby niegodnem ze strony Japonii szkodzić jej. Mimo tego wysłannik ten zdołał zakupić potrzebną broń i powrócił w lipcu do Rosyi.

Trzęsienie ziemi we Włoszech.

Wielką przestrzeń Włoch południowych nawiedziła klęska straszna. Trzęsienie ziemi przebiegło szerokim pasem całą Kalabryę, Balicę i Apulię, niszcząc wsie i miasteczka, wypędzając z domów miliony spłoszonych mieszkańców, odbierając wielu z nich życie. Szkoda, wyrządzona przez trzęsienie ziemi, przechodzi wszelkie pojęcie. Ilość ofiar jest niezmierną, podają ją na 50.000 ludzi.

Podczas wydobywania zwłok i rannych z pod gruzów odgrywają się straszne sceny. Rannych transportują koleją, wozami i taczkami na północ. Wielu z nich w drodze umiera.

W Castelnnaro katastrofa coraz groźniej się przedstawia. Ludzie obozują pod gołem niebem, gdyż domy wszystkie uszkodzone.

Z Mesyny donoszą, że liczba ofiar ma wynosić 2000, zaś liczba rannych 10 000. W Pizo zapadła się skała na 40 metrów w ziemię. Pewien pastuch, który właśnie pędził bydło na paszę, został przez rozsuwającą się ziemię pochłonięty.

W Cosenza zawaliła się część kościoła wraz z wieżą. W pewnem miejscu wydobyto zpod g uzów zwłoki całej rodziny, składającej się z 11 osób.

Dla niesienia pomocy pospieszyli doktorzy, studenci medycyny i Czerwony Krzyż. Król ofiarował 100.000 lirów dla ofiar. Minister robót publicznych Ferraris udał się na miejsce katastrofy, gdzie pod jego rozkazami wojsko pracuje.

Całkowicie zniszczone są miejscowości: Mentauro, Giunigliano, Maida, Jacurso, Martirano, Sauplovio, Jonadi, Dassinarello, Tropea, Montelepre, Monteleone, Pizzo, Geraze, Bognara, Siderno, Trissilico, Catanzaro, Giffoni, Palmi, Sant-Eufemia, Astromonte. Kilkaset innych trzęsienie ziemi zniszczyło częściowo.

W niektórych miejscowościach powtarzały się trzęsienia ziemi z licznemi przerwami, zwłaszcza w Monteleone. Tam pracuje dzień i noc cała załoga z Reggio, spiesząc z pomocą nieszczęśliwym. Pomimo natychmiastowej pomocy daje się wszędzie uczuć brak lekarzy i opatrunków.

Dworce kolejowe wszędzie uszkodzone, niektóre całkiem zwalone. W Morocato zwalił się most kolei żelaznej, wśród strasznego huku, na rzece Zaruffo.

Z Rzymu donoszą, że gdy tylko dowiedzieli się o nieszczęściu, wojsko wyruszyło zaraz do Kalabryi w celu niesienia pomocy, zabierając z sobą żywność i 2000 namiotów, gdyż ludność obozuje pod gołem niebem.

Piękna miejscowość Monteleone, gdzie znajdowało się bardzo wiele pałaców historycznych i bogatych willi, dzisiaj przedstawia kupę gruzów. Król włoski Wiktor Emanuel udał się również na miejsce katastrofy, pocieszał

nieszczęśliwych i rannych. Z całych Włoch nadchodzą składki pieniężne dla dotkniętych klęską, także z Paryża, Londynu i Nowego Jorku nadsyłają telegraficznie znaczne sumy pieniężne.

Podczas trzęsienia ziemi wzmogła się także czynność Wezuwiusza. Lawa, która od pewnego czasu wypływa z nowego koryta, wydobywa się obecnie z większą siłą. Zarząca się lawa dotarła o 40 metrów poza tor kolejowy i komunikacya została przerwana. Równocześnie spadają ze straszliwem łoskotem kamienie wyrzucane przez Wezuwiusz. Widok Wezuwiusza jest niezwykle groźny. W samym Neapolu dały się również uczuć dwa lekkie wstrząśnienia ziemi, które jednak nie wyrządziły szkody.

Wśród pól płonących.

W północnej części półwyspu Apszerońskiego, tuż nad samem morzem, znajduje się pole ogromne, kilka wiorst kwadratowych obejmujące. Mieszkańcy półwyspu nazywają je „polem ogniowem“. Nazwa to zupełnie właściwa. Opisać pola tego nie podobna; brak słów na to. Niema tu ani śladu życia, żadna roślina, żaden chwast tu nie rośnie. Nad polem unosi się powietrze dziwne, duszne, nie podobne ani do dnia ani do nocy, ani do mgły, a jednak wszystko to na nie się składa. Cisza najstraszniejsza. Nie zabłąka się w te strony ani ptak, ani nawet robak żaden. A jednak pole to żyje żywiołem ognia. Z pod ziemi wydobywają się gazy naftowe i w postaci słupów niewielkich, najwyżej dwułokciowych, płoną, gasną, znikają, chwieją się w podmuchu wiatru, znów się zapalają, czołgają się po ziemi, nie palą nic, bo niema tu nic do spalenia, nie wydają nawet żadnego dymu, tłumią się tylko, to znów się rozbiegają, niby duchy pokutne, w dziką pustynię zapędzone.

Wrażenie, jakie wywiera to płonące pole, nie da się opisać. Żadnego syku, żadnego trzasku, jaki zwykle towarzyszy płomieniom. Żadnego żaru, żadnej gry barw tu nie dostrzeże, powietrze tylko pali się, pali się wciąż, od wieków.

A tuż obok morze. Dwa wrogie sobie żywioły spotkały się tu, spoglądają wciąż na siebie, ale zdają się być zbyt leniwemi, by wystąpić do walki. Morze w tem miejscu jest zawsze tak ciche, tak spokojne, że wygląda jak tafla lustrzana. Fala żadna nie marszczy jego powierzchni. Czasem tylko nad wodą pojawi się płomień, przebiegnie cicho drogą wężową, błyśnie i zgaśnie, i znów cisza straszna, niema, nieprzerwana.

Rzadko wędrowiec zabłąka się w te strony, czczone przez poetów, jako przybytek najwyższego bóstwa-ognia. Nikt niema odwagi przedzierać się wśród tych słupów płomienistych, nie wiadomo skąd wybuchających, nie wiadomo gdzie znikających.

Z polami płonącemi sąsiaduje dolina Bibi Eibat, o której powiadają, że stosunkowo do swego obszaru — ma na oko pięć wiorst kwadratowych — jest najbogatszem polem naftowem w całym świecie. W dolinie tej znajdują się szyby naftowe wydające ogromną ilość nafty. Z tych to właśnie pokładów nafty wytwarzają się gazy i płoną w kształcie słupów tajemniczych na „polu ogniowem“.

Rady gospodarskie.

Co powinna wiedzieć każda, która przyjmuje na siebie obowiązek żony i gospodyni. Każda gospodyni powinna o tem wiedzieć, że od niej to zależy szczęście i zdrowie jej rodziny. Powinna to zrozumieć, że żaden i nawet najmniejszy obowiązek jak i na niej ciąży, nie może zostać pominięty, chociażby tylko dlatego, że jest on mały. Każda gospodyni powinna o tem wiedzieć i dobrze pamiętać, że tylko z małych rzeczy składają się wielkie. Staropolskie przysłowie powiada „ziarnko do ziarnka, a będzie miarka“. Przez sumienną i gorliwą pracę samej gospodyni zyskuje nie tylko samo gospodarstwo, ale i całe otoczenie wynosi wielką moralną korzyść, co w dzisiejszych czasach jest bardzo ważne. Dobry przykład samej gospodyni więcej zachęca służbę do pełnienia obowiązków, niż wszelkie łajania i nagany. A że w młodem sercu i umyśle dziecka wszelkie zarodki dobrego zaszczepiają się najłatwiej przez przykład matki, o tem wie każda matka lepiej, aniżelibym ja jej to w najpiękniejszych słowach potrafiła opowiedzieć i wytłumaczyć. Co potrafi dobra szlachetna matka, może powiedzieć ten, kto miał sposobność poznać kobietę oddającą się z całem poświęceniem gospodarstwu i oddychającą życiem i szczęściem otaczających ją a dla niej drogich istot. Kobieta taka na podobieństwo rozłożystego drzewa tuli do siebie nie tylko najbliższych członków rodziny ale i dalszych stojących poza rodziną i służbę przygarnia pod dobroczynny wpływ cienia swych konarów. Każdy mi przyzna, że aby być dobrą gospodynią i żoną po-

trzeba daleko więcej aniżeli to nasze panny i dziewczęta sądzą.

Niedosyć być przystojną, mieć majątek, być wykształconą, umieć się ładnie ubrać, uśmiechać, żartować, potańczyć, wreszcie coś uszyć, ot niejedna myśli przecież umiem szyć, trochę gotować, krowę wydoję, w polu zrobić jak potrzeba, jeżeli matka gwałtem każe, a młoda i przystojna jestem, ojciec wyda którą stówkę i pójdę zamąż i będę szczęśliwą. Oj nie koniecznie to prawda, nie w urodzie, nie w młodości, nie w stówkach szczęście mieszka, ale w pracy w cierpliwości, w rozsądku, w umiejętnem zastosowaniu się do swego położenia, aby nie wymagać więcej nad to co być może. Jeszcze raz powtarzam, że wierność, cierpliwość, bo do mężczyzn potrzeba bardzo wiele cierpliwości i wyrozumienia, chcą oni by kobieta była prawdziwym aniołem, wzorem cierpliwości, wyrozumiałości i poświęcenia, (tylko oni sami o tem wiedzieć nie bardzo chcą).

I tylko taka kobieta może mężowi zamienić życie w przyjemne miejsce spokoju, a dzieciom dać szkołę dobrych obyczajów, zachęcając ich od małego do pracy, porządku i miłości bliźniego. Oto jest najpiękniejsza ozdoba kobiety. Każda która ma „Boga w sercu", wykształcona czy nie, biedna czy bogata z wyższego czy z niższego stanu, potrafi w duszy te skarby przynieść mężowi w posagu. W każdem dobrze utrzymanem gospodarstwie, znający się na rzeczy odrazu pozna pracę ręki kobiecej, a im ta praca będzie cięższą, im mozolniejszą, tem więcej rozbudzi podziwu ku jej wykonawczyni. Kto miał szczęście znaleść dobry przykład w swej matce lub innej dzielnej gospodyni, temu naśladowanie przejdzie bezwiednie w krew i kość. Kto zaś nieczuje w sobie warunków do zostania dobrą gospodynią, powinien wszelkiemi siłami starać się te braki uzupełnić przez przyjaźń z kobietami o których się wie, że im tych cnót nie brakuje. C. d. n.

Rozkład pracy na wrzesień.

W tym miesiącu trzeba pomyśleć o zużytkowaniu śliwek; robić konfitury, kompoty, a gdy już śliwki zupełnie dojrzałe, marynować, suszyć w cukrze na laskach, robić powidła i t. d. Pomidory są teraz najpiękniejsze, wszelkie pikle, jak korniszony, cebulkę szarlotową i inne trzeba już koniecznie marynować. Przy końcu września dojrzewa głóg, z którego to są bardzo dobre powidełka, a można go także suszyć, na zimowy użytek do sosów itp. Najwięcej teraz jest grzybów jesiennych i rydzów, trzeba też z tego korzystać nie opuszczając się na później.

Jesień u nas czasem zawodzi i można w końcu zostać bez tych na pozór niezbyt ważnych rzeczy, a przecież dla każdej gospodyni koniecznych. Czas zbierać orzechy, aby się na drzewie nie wyłuskały. Pora teraz chłodniejsza, paszy jest podostatkiem a więc i mleka wszędzie jest dosyć, masło też da się lepiej wyrobić aniżeli w gorące dnie lipcowe, dlatego też jest ono najlepszem na zimowe przechowanie.

Grochy łuskać i suszyć rozsypane na górach, dla bezpieczeństwa można już i cebulę wyrywać i na górach rozsypać aby przeschła. Len można już moczyć, przygotować go na dłuższe wieczory.

We wrześniu zaczyna się już wieczorna robota przy lampie, dlatego też przypominamy o ostrożności z lampami. Wszystkie lampy powinny być rano przy sprzątaniu oczyszczone, nafta rano nalana, knoty i szkła czysto oczyszczone a następnie cała lampa czystą ścierką z nafty obtarta, bo przecież przy nalewaniu zawsze się cośkolwiek po lampie rozleje, a co następnie sprawia niemiłą woń w pomieszkaniu.

Jeżeli lampy w pomieszkaniu oczyścimy rano, kiedy jest więcej czasu, to pewnie lampy te nie będą kopciły, ani też o wypadku mowy być nie może. Przeciwnie zaś jeżeli się lampy nalewa wieczór na gwałt i to przy świetle świecy, albo co gorzej, jak to niektóre gosposie pozwalają sobie do palącej lampy dolewać, bo światła potrzeba a tu lampa gaśnie, no to w takim razie nic łatwiejszego, jak o nieszczęście. Lampy niewolno przenosić z miejsca na miejsce, lub stawiać byle gdzie, ale powinna mieć stałe i pewne miejsce, skąd ani spaść, ani przez dzieci strąconą być nie może.

Ubrania zimowe wyjąć ze szaf i skrzyni i przeglądnąć, a gdzieby była jaka poprawka to poprawić, jeżeli to się na wiosnę nie zrobiło, aby było całe i czyste za nadejściem zimy. W czasie niepogody oczyszczać zebrane nasiona. Piwnice oczyścić, wybielić, siarką wykadzić i dobrze przewietrzyć.

W domu popoprawiać ściany i dachy. W ogrodzie przekopać opróżnione grzędy i nawieźć gdzie potrzeba, przygotować grzędy pod warzywa, które z początku tego miesiąca już można siać, jak: czosnek, szarlotkę, cebulę, wogóle wszystkie rośliny cebulowe sadzić w październiku, można także siać w gruncie marchew, pietruszkę, cebulę, szpinak, szparagi, lewardę, koper, kminek itp., kopać ziemniaki, uważając aby ich nie kaleczyć i chować do czystych, suchych piwnic, najlepszym schowkiem dla ziemniaków jest suchy, dobrze

zrobiony kopiec. Łąki oczyszczać z chwastów, bronować raz i wtóry, aby rozsypać kretowiny i oczyścić z kęp i mchu, nawieść konikiem i żużlami i następnie dobrze zwłóczyć. W sadach u drzew po zebraniu owoców, przesadzić korony a pnie pobielić, przewiązać słomą, lub dać tekturowe opaski smarowane lepem lub smołą.

Różne wady i psucie mleka.

(Ciąg dalszy.)

4. Często się zdarza, że krowa jest po chorobie, w czasie której zadawano jej zewnętrzne lekarstwa. Stąd też pochodzi, że mleko może działać trująco, naprzykład po szczodrzenicy, lub przeczyszczająco jak po gratioli. Również niektóre ostre lekarstwa i maści wcierane w skórę, psują i zmieniają smak i własności mleka. Najniebezpieczniejszym zarazkiem trującym jest bakcyl gruźliczny.

5. Zdarza się nieraz w ciężkich chorobach jak: ciężki poród, silna gorączka porodowa, mammit itp. W takim razie czerwone kulki krwi dostają się do cystern wymionowych, a mleko nabiera koloru różowego. Naturalnie, że dla ludzi jest takie mleko nieprzyjemne, ale trzodą spasać go można, nie szkodzi ono zupełnie.

6. Niekiedy bywa mleko zupełnie serowate, jakby skrupione. Jest to następstwo silnego mammitu. Zropiałe kulki krwi przedostają się do wymion, do mleka, takie mleko jest brudne żółtawe, po wydojeniu zsiada się zaraz nie podlegając kwaśnieniu. Działa tu ferment sernikowy, a głównie ferment maślany. Czasami zdarza się, że serowatość nie pojawia się w mleku, tylko w śmietanie, takie mleko można przerobić zaraz po wydojeniu, a daje się nawet przechować, ale tylko w bardzo niskiej temperaturze.

7. Może być także mleko żwirowate, zazawierające w sobie kamyczki różnego rodzaju, różnej wielkości, dochodzące nieraz wielkości grochu okrągłego a nawet fasoli, przeważnie są to kamyczki wielkości prosa, gładkie i chropowate. Składają się one z węglanu, wapnia i materyi organicznych, głównym wiążącym składnikiem jest sernik.

Przyczyny żwirowacenia mleka są jeszcze mało badane, pojawia się ono bardzo rzadko, jednak są wypadki. Niewiadomo czy pochodzi ono z pokarmów roślinnych, czy też z wody zawierającej w sobie silne sole mineralne, głównie nieprawidłowe działanie gruczołów mlecznych.

8. Niekiedy bywa mleko zabarwione, pochodzi to przeważnie z paszy, i tak większa ilość marzanny nadaje mleku barwę czerwonawą, majówka zwana maikiem barwi na żółto, wołowy język robi mleko sinem i t. p.

Pokarmy pożywne dają mleko tłuste barwy jasno-żółtej, zaś pokarmy wodniste, jak słoma, liche siano dają mleko wodniste koloru sino-białego. Krowy które chorują na wątrobę z rozlaniem żółci, dają mleko zielonkowate, w miarę zaś jak bydle do zdrowia przychodzi zabarwienie to ginie.

9. Mleko wodniste. Kto ma bydło liche, żywi je źle, ten też nie może się spodziewać dobrego i tłustego mleka. Mleko takie będzie zawsze sine, ubogie w tłuszcz i w sernik. Niejedna gospodyni powie: „Ja mam krowy ładne, tłuste, dobrze je żywię, a jak przyjdzie lato i upały, to mleka mam mało i liche“. Pochodzi to z wielkiego gorąca, że najlepsze nawet krowy dają mleko cienkie, wstrzymują je w znacznej części, a czasami zupełnie przestają się doić.

10. Bardzo często zdarza się mleko ciągnące się, lepkie, klejowate, czepia się ono palców i ciągnie się jak nić, zsiada się bardzo łatwo i wydziela słaby zapach kwasu maślanego, natomiast nie daje ono wcale lub też bardzo mało śmietany, masła zaś z takiej śmietany zupełnie zrobić nie można. Postać taką przybiera mleko zaraz po wyjściu z wymienia Powód tego psucia jest jeszcze mało znany, wiadomo jednak, że przyczyna leży w liściach rośliny zwanej „kurzą nogą“. Niekiedy jest też powodem tej zmiany zaburzenie trawienia, spowodowane nagłą zmianą paszy suchej na zieloną. Czasami zdarza się to też w oborach, gdzie się silnie wytwarza saletra

Jeżeli mleko po wydojeniu jest dobre a dopiero w jakiś czas potem się zmienia, to powodem tego jest baccilus viscosus, który osiada na naczyniach. Powoduje on rozkład cukru mlecznego i wydzielanie się sernika w postaci krążków, które stanowią klejowatość mleka. Mleko to wywiera ogromny wpływ na mleko zdrowe tak, że $^1/_4$ litrem mleka ciągnącego można zazazić 500 litrów mleka zdrowego, ogrzane 30—40 stopni działa najsilniej. Jedyną radą na to jest utrzymanie w największej do przesady dochodzącej czystości w oborze, mleczarni i w naczyniach a nawet osoby chodzące około bydła powinny być bardzo czysto ubrane. Całą oborę, mleczarnię i naczynie mleczne poddać ścisłej desynfekcyi zapomocą dwusiarku wa-

pna, lub siarczanu żelaza, mleko zaś zaraz po wydojeniu ogrzać do 65°, bo dopiero taka temperatura niszczy zarodki tej choroby.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rozkład pracy na październik.

W tym miesiącu jest najwięcej pracy około zbiorów w ogrodach. Im dłużej jarzyny zostają w ziemi a owoce na drzewach, tem lepiej, nie trzeba jednak zanadto tej pracy odkładać. Z początkiem miesiąca zebrać wszystko co jest, wykopać i umieścić w piwnicy w dobrze wysuszonym piasku, lub lochu; drobne warzywa a przeważnie ziemniaki drobne spasać wieprzami, karmiąc je na szynki 6—8 tygodni a na słoninę 3—4 miesięcy. Przy końcu tego miesiąca trzeba też już pomyśleć o zaopatrzeniu mieszkania na zimę, polepić szpary, okna pozalepiać wapnem z piaskiem, zaopatrzyć stajnie, chlewy, kurniki, porobić zagaty, aby wszędzie było ciepło, bo ciepłe pomieszczenie bardzo wiele znaczy, krówki lepiej się karmią a i kurki prędzej się nieść będą, jeżeli w czasie pierzenia miały ciepły kurnik, ciepłą i pożywną paszę i były przestrzegane od deszczu i od słoty. Gęsi karmić pośladami zboża, w trzech tygodniach powinna być gęś zupełnie utuczona, zabijając gęsi należy uważać przy skubaniu, aby nie mieszać puchu z pierzem. Wszelkie suknie letnie perkałowe należy teraz przeprać, białe zaś silnie ufarbkować aby przez zimę nie zżółkły, krochmalić nie trzeba, bo się przezto łamią.

Suknie zimowe i kożuchy teraz już koniecznie przeglądnąć, czy niema na nich jakiej naprawki lub przeróbki. W ogrodzie jak to już wyżej mówiłam wykopać wszystkie warzywa w czasie suchej stałej pogody, ziele z nich pozrzynać i przed złożeniem do piwnicy trochę na powietrzu przesuszyć. W tym miesiącu można siać w gruncie: pietruszkę, marchew, szpinak, cebulę, szparagi, czosnek sadzić, siać lewardę, majeranek itp.

Ziemię w ogrodzie nawieźć gdzie potrzeba i skopać lub zorać na jesień, co przyczynia się dużo do dobroci roślin, ich wzrostu i obfitości. Przez skopanie na jesień spulchnia się grunt ciężki i twardy, a piaszczysty przejmuje wilgocią na całe przyszłe lato, nadto skopanie gruntu na jesień przyczynia się też do wyniszczenia chwastów, a przytem oszczędza się roboty na wiosnę, gdyż nie potrzeba go już drugi raz kopać tylko się motyką spulchnia czyli nasiekuje przed siejbą.

Liście i ziele odcięte z warzywa korzeniowego i innej ogrodowizny, ułożyć na belki i oblać kipiącą wodą i nasolić na karmę dla bydła.

W sadzie przerzadzać korony drzew, pnie drzew czyścić i bielić, około starych drzew ziemię gnojem nawieźć. W polu orać wszystkie pola, które mają być użyte pod wiosenne zasiewy i zostawić je w ostrej i sztorcowanej skibie, prócz tych, które myślimy wczas na wiosnę jeszcze gnojem nawieść.

Przysłowia: Miesiąc październy obraz marca wierny.

Na św. Łukasz próżno już po polu szukasz.

Od św. Szymona i Judy spodziewaj się śniegu i grudy.

Z czego może mieć dochód gospodyni wiejska.

(Ciąg dalszy).

Prawie przy każdej chacie jest kawałek pola nazwany ogrodem, niestety nosi on często tylko nazwę ogrodu, a w rzeczywistości jest to prawdziwe śmiecisko zasypane grudami, kamieniami, zarośnięte pokrzywami; żeby to chociaż gospodyni zadała sobie tyle pracy, aby te pokrzywy ścinać dla trzody i drobiu. Pokrzywy, jak wiadomo, są nie tylko paszą ale lekarstwem. Świnki, które dostawały do karmy pokrzywy, nie podlegają tak słabościom jak inne, są one na wszelkie choroby wytrzymalsze i odporniejsze. To samo możnaby powiedzieć i o drobiu, a przytem nasienie pokrzywy podnosi nieśność u drobiu a zwłaszcza u kur. Dlatego też każda gospodyni powinna wyzyskać ten uprzykrzony chwast i nie tylko zużywać go w lecie ile tylko się da, ale powinna się o to postarać, aby go miała spory zapas suszonego na zimę. Dla kur najlepiej jest suszyć już z nasieniem wiązane w snopki. No, ale o tem pomówimy na innem miejscu, a teraz wracajmy do ogrodu, który to pomimo, iżby był nawet i wzorowo prowadzony, pokrzywom miejsca ustąpi, pod płotem od strony gdzie słońce mało dochodzi tu zresztą znajdzie się miejsce na pokrzywy przy gnoju, przy kupach kompostowych, przy miejscach ustępowych, są to najlepsze miejsca na pokrzywy i słonecznik, wydzielają z siebie zapach żywiczny, co odświeża powietrze.

Zaś cały kawałek pola wokoło chaty powinien być porządnie ogrodzony, powinny być porobione i zawsze czysto utrzymane ścieżki do każdego budynku, kawałek przy

samej chacie pozostawić na podwórku, resztę zaś ogrodzić i przeznaczyć na sad, ogród warzywny, kwiatowy i leczniczy.

Przed chatą przed oknami zrobić jedną lub dwie grządki na kwiaty i jedną lub dwie na zioła ogrodowe, które się w aptekach drogo kupuje i zazwyczaj kilkuletnie. Tak kwiaty jak i zioła można w blizkosci większego miasta dobrze spieniężać, a przytem ma się własną przyjemność i wygodę.

Prócz tego należy przeznaczyć spory kawałek ziemi pod warzywa, których to każda gospodyni potrzebuje i bez nich obejść się prawie nie może. Mając zaś większą ilość warzywa, nie potrzeba szukać większego miasta ale można je wszędzie a nawet na wsi sprzedać, a już w każdem nawet najmniejszem miasteczku. Uprawa zaś ogrodu wymaga daleko mniejszych nakładów niż uprawa pola; z pola zbiera sie raz a najwyżej dwa razy w roku, w ogrodzie zaś można z jednego miejsca zbierać dwa, trzy i cztery razy do roku, a przytem mórg ogrodu można obrobić ręcznie łopatą, motyką, nie potrzeba tu ani pługa ani brony.

Wystarczy tu praca kobiet lub dzieci, i tak: liczy się na jeden mórg dwóch dorosłych robotników, jeżeli ci pracują po 10 godzin dziennie, kobiet liczy się trzy a dzieci czworo, mówimy tu o całorocznej pracy. W pobliżu większego miasta może jeden mórg ogrodu dać utrzymanie całej rodzinie, złożonej z 6—8 osób. Dalej od miasta daje on mniejsze dochody, może jednak zawsze być wielką pomocą gospodyni.

Dalej można założyć kawałek sadu, a będzie przynajmniej gdzie w cieniu po dziennej pracy wypocząć — od czasu do czasu zje się smaczny owoc, jeżeli drzewa posadzimy bliżej chaty, stodoły i t. d. to mamy ochronę przed burzą i ogniem, a w obecnych czasach gdzie owoce są tak drogie i tak poszukiwany dobry owoc, to mały ale mądrze posadzony i dobrze utrzymany sadek wcale ładne może dać dochody. Dopóki drzewa są mniejsze, można w sadzie mieć jarzyny, przy drogach agrest i porzeczki. Po latach zaś, kiedy drzewa się rozrosną, to zawsze jeszcze można mieć trawę, a wtedy już pewnie i drzewa same dobrze ten kawałek gruntu opłacą, trzeba tylko pilnie i umiejętnie około nich robić. A nie jak u wielu jeszcze gospodarzy, co to pod drzewem pełno dzikich, młodych pędów wyrasta, a na drzewach gałęzie krzywe i suche, ziemia około drzewa całemi dziesiątkami lat nie jest ruszana i nie nawożona, a jeżeli się gospodarzowi lub gospodyni uwagę na to zwróci, to tylko powie: „Jak Pan Bóg da, to i tak będzie“. Taka odpowiedź nie usprawiedliwia lenistwa, bo przecież Pan Bóg nie przyjdzie i nie zrobi tego za was. Tak każdy gospodarz jak i każda gospodyni powinna umieć drzewko zaszczepić i około niego zrobić co tylko potrzeba. Praca w sadzie nie jest koniecznie pracą dla mężczyzny, nadaje się ona również bardzo dobrze dla kobiety i która gospodyni widzi, że gospodarz tego nie umie, lub też nie chce mu się tego zrobić, powinna się tem sama zająć a przecież tyle czasu znajdzie. Zagroda bez drzew owocowych, to jakby dziewczyna wiejska ubrana w szaty świąteczne, a bez kwiatka we włosach, brakuje jej tego co najwięcej młode dziewczę zdobi. Tak też, gdzie niema około chaty drzew owocowych, brakuje tego co chatę chroni od burzy i ognia, brakuje cienia, który w skwarne dnie letnie, a powiedzmy już przynajmniej, w skwarne dnie świąteczne daje nam przyjemny wypoczynek, orzeźwia nas soczystym owocem i daje poniekąd omastę w dnie postne.

Mając przy chacie sad, ogród, a za chatą dalej w polu łąki, łany koniczyny, hreczki, rzepaku itp. można łatwo utrzymać dwa lub trzy pnie pszczół. Praca około pszczół nie jest ciężką, trzeba tylko trochę umiejętności i odwagi. Dochód z jednego pnia może być przynajmniej 10 kor. rocznie, a może być i więcej. Każda kobieta może przy gospodarstwie łatwo kilka uli obrobić, a już gospodarz, to powinien się każdy tem zająć, gdzie tylko jest możliwość hodowania pszczół.

Chcąc aby kury w zimie jaja niosły, trzeba w ciepłym piecu po chlebie ususzyć lnianego siemienia i żołędzi, następnie utłuc jedno i drugie w stępie na mąkę, potem domieszać otrąb pszennych, tak, aby było $^1/_3$ siemienia, $^1/_3$ mąki żołędnej i $^1/_3$ otrąb pszennych. Wymieszać to wszystko razem, zarobić wodą na tęgie ciasto, poskubać, lub posiekać na kluseczki i podać kurom za karmę. Kury będą się dobrze niosły a jaja będą miały po dwa żółtka.

ROZMAITOŚCI.

Bogumin (miasto). W sobotę, dnia 16 września, bawiła w naszem miasteczku przez kilka godzin dziatwa szkolna z Radlina. wsi leżącej na Śląsku górnym, koło Włodzisławia. Nie trudno odgadnąć, że to były dzieci polskie. Jakież jednakże bolesne uczucie musiało zawładnąć sercem każdego, gdy widział, jak dzieci te pod wodzą pruskich nauczycieli grać musiały rolę Niemców. Oto przybywszy na rynek musiały one z odkrytemi głowami przy dźwiękach orkiestry odśpiewać najpierw hymn austryacki, nb. po niemiecku, a następnie w gospodzie p. Scholca, gdzie im wyznaczono spoczynek, musiały o zgrozo! — te biedne dzieci polskie, na ziemi polskiej w zaborze austryackim, odśpiewać hymn pruski „Die Wacht am Rein“. Ale niedość na tem. Wracając, żegnał kierownik szkoły miasto, dziękując w imieniu dziatwy za gościnność i wzniósł okrzyk na cześć cesarza austryackiego. Dzieci okrzyk powtórzyły i znowu zaśpiewały przy wtórze orkiestry hymn austryacki. Na to pożegnanie nie miał kto odpowiedzieć, bo na miejscu nie było „odpowiedniego“ reprezentanta miasta. Aż tu nagle otwierają się szybko okna I-go piętra w ratuszu, przed którym nieszczęśliwa dziatwa stała, pokazuje się kierownik tutejszej szkoły i woła na całe gardło: Seine Majestät Kaiser Wilhelm II. soll leben! Hoch! (Niech żyje Jego cesarska Mość Wilhelm II.). Więc tak zawczasu, jeszcze w szkole, uczy się dziatwa śpiewać w zaborze austryackim pruskie hymny. Nic więc dziwnego, że urzędnicy urządzają sobie w dniu urodzin Wilhelma II. bankiety na dworcu austryackim i sprowadzają na nie pruskich oficerów. I to wszystko znosi się w konstytucyjnem państwie austryackim. Boguminianin.

Straszne sceny na pograniczu rosyjskiem. „Nowa Reforma“ podaje następujący opis, świadczący o zwierzęcości rosyjskiej straży pogranicznej:

„Od wiarogodnej osoby otrzymujemy następujące, zgrozą przejmujące przedstawienie wypadków, które rozegrały się w niedalekiej odległości od Krakowa, tuż za pasem granicznym między Galicyą a Królestwem Polskiem. Informacye nasze opiewają:

Wieś Kocmyrzów, leżąca, jak wiadomo tuż nad granicą rosyjską, była w dniu 19 b. m. widownią smutnych wypadków. Około godziny wpół do dziewiątej wieczorem usłyszano kilkadziesiąt strzałów karabinowych, a po alarmie całego oddziału rosyjskiej straży pogranicznej, rozeszła się wiadomość o aresztowaniu całej bandy przemytników. Okazało się, że „objeszczyk“ spostrzegł paru przemytników spirytusu i strzelił. Dwaj uciekli, na placu został Jakób Król, poddany rosyjski, od roku w Galicyi osiadły. Podczas alarmu chwycono także niewinnego chłopca kilkunastoletniego, Dudę z Łużyc, który uciekał z pastwiska. Zaprowadzono ich wobec licznych świadków, zwabionych alarmem, do koszar rosyjskich i tam zaczęła się obserwowana przez okna (nawet i z galicyjskiej strony) zabawa moskiewska. Aresztowanych bito stemplami stalowymi od karabinów po piętach, podpiekano im podeszwy świecami, wreszcie położonemu na wznak Królowi skakano po deskach na piersiach itp.

Te okrucieństwa tak oburzyły przyglądających się przez okna chłopów z pod panowania caratu, że kilkoma kamieniami wybili szyby w kazamacie. Na to wypadli sołdaci, pochwyciwszy karabiny, i za rozpraszającym się tłumem włościan dali kilka ostrych strzałów. Kule świstały po gościńcu galicyjskim i cudownym tylko jakimś sposobem nie raniły nikogo.

Do rana słychać było potem jęki i krzyki katowanych ofiar, które dopiero z nadejściem godziny 9 przed południem następnego dnia zostały przeprowadzone, a raczej przeniesione (Król ma nogi zupełnie poparzone i poprzecinane pięty) przed oblicze komendanta posterunku, kapitana Paszkowskiego, który pozwala chętnie, aby „rabiata pogulała“.

Dudę puszczono wolno, Król wysłany został do Miechowa.

Cała okolica pozostaje pod grozą tego namacalnego przykładu cywilizacyi moskiewskiej“.

Język polski na poczcie w Królestwie. Na mocy otrzymanej depeszy z Petersburga, pozwolono na drukowanie adresów na opaskach przy wysyłaniu gazet w obrębie Królestwa Polskiego w języku polskim.

Przerwana wizytacya biskupia. Kiedy biskup z Lublina X. Jaczewski wizytował parafię Skrzeszów, na stacyi Sielce otrzymano telegram kancelaryi generał-gubernatora z rozkazem natychmiastowego doręczenia go biskupowi. Telegram zawierał polecenie natychmiastowego przyjazdu dostojnika Kościoła do Warszawy. Biskup Jaczewski po otrzymaniu depeszy wręczył odmowną odpowiedź.

Na telegram ten kancelarya generał-gubernatora odpowiedziała, jak następuje: „J. E. Biskup Jaczewski zechce bezzwłocznie przybyć do Warszawy“.

Po otrzymaniu tego telegramu, ks. biskup Jaczewski udał się na stacyę Siedlce, skąd o godzinie 6 wieczorem, kierując się na Sokołów, wyjechał pociągiem kuryerskim do Warszawy. Towarzyszył mu X. dziekan Pruszkowski.

O godzinie 8 przybył do Warszawy i stanął w hotelu Europejskim. W niedzielę w południe X. biskup Jaczewski był na przyjęciu u generał-gubernatora Skałłona w zamku. Wynikiem tego było odwołanie dalszych wizytacyj, oraz wyjazd ks biskupa z powrotem do Lublina.

Biskup o wznowieniu przerwanego objazdu zawiadomi oddzielnie, wyjazd jednak nie nastąpi prędko, biskup bowiem wysłał telegram do X. dziekana Sokołowskiego, polecający odwołanie przygotowań do wizytacyi.

Do Siedlec biskup miał przybyć w dniu 28 września. Przygotowania do jego przyjęcia czyniono już od dni kilku. Wizytacya zapowiadała się wspaniale. Gubernator siedlecki Wołżyn, do którego się zwracano o pozwolenie na urządzenie przyjęcia, był nieprzychylny wizytacyi.

Napad na więzienie. Pewnej nocy 70 osób dokonało śmiałego napadu na centralne więzienie w Rydze. Przerwawszy druty telefoniczne weszli napastnicy na drabinę, a po niej na podwórze więzienne, gdzie nastąpiła utarczka ze strażą. Dwóch strażników zabito, trzech raniono. Wtargnęli następnie do samego więzienia, gdzie uwolniono kilku więźniów politycznych, na których, w myśl wyroku sądowego wykonany miał być wyrok śmierci. Potem uczestnicy napadu zbiegli. Przed więzieniem przyszło do starcia z oddziałem policyi. Jednego policyanta zabito, kilku raniono. Napadający uszli wszyscy, z wyjątkiem dwóch, których aresztowano.

Składy broni. Żandarmerya odkryła w domu pewnego zamożnego mieszczanina w Petersburgu wielki skład broni zagranicznej. Właściciela domu aresztowano. Obecnie dokonują się liczne aresztowania w kołach najpoważniejszych obywateli miasta.

Wyroki śmierci. W Sebastopolu rozstrzelano znów dwóch skazanych na śmierć marynarzy z pancernika „Jerzy Pobiedonosec", a trzech innych skazano na karę śmierci.

Krwawe rozruchy na Kaukaize. Mordy w Baku trwają dalej. W prowincyi elisabetpolskiej rabunki wszędzie się powtarzają, szczególniej na drodze do Agdama. Na drogę tą przybył generał Takajszwili z wojskiem. Kozacy ścigali bandę Tatarów aż do ormiańskiego klasztoru w prowincyi erywańskiej, w którym bandę otoczyli. Mahometanie, którzy przybyli Tatarom z pomocą i uwolnili Tatarów z oblężenia.

W Baku ogłoszono stan oblężenia. Mimo to wobec zupełnej bezsilności i niedołęztwa władz, mordy i pożogi trwają dalej.

W dystrykcie Gori krążą liczne bandy mahometańskich powstańców i rabusiów, które napadają, rabują i palą wsie chrześcijańskie. Zamordowano już kilkaset osób. W między bandami temi wywiązują się często krwawe walki. Wojsko jest jeszcze za słabe, aby mogło podjąć akcyę na szersze rozmiary. Rząd rozmieszcza je po większych miastach, mniejsze bowiem oddziały wysłane na prowincyę, nie mogą stawić czoła silnym i doskonale uzbrojonym oddziałom „powstańców".

Mimo pozornego spokoju położenie w mieście Baku jest naprężone. Ruch na ulicach jest jeszcze bardzo nieznaczny. Kilka sklepów otworzono. Znowu przyszło do bardzo licznych starć, przyczem kilka osób zginęło i odniosło rany. Mieszkańcy chodzą po ulicach pod eskortą żołnierzy jak więźniowie. Fabryki i warsztaty są nieczynne. Wielka ilość robotników wyjeżdża za wolnemi biletami, których im dostarcza gubernator. Persowie bywają odsyłani do ojczyzny. Pożar zniszczył 400 000 pudów nafty. Cysterny naftowe poza miastem zostały nietknięte. Z domów ucierpiały przeważnie domy Ormian, mniej domy Tatarów. Tu i ówdzie pożar jeszcze trwa. Liczba wojska jest niedostateczną do zabezpieczenia ruchu fabrycznego, gdyż Tatarzy i motłoch dalej rabują.

Kutais. Około 2000 ludzi zaatakowało w nocy wagon z więźniami na stacyi Obasza. Przyszło do walki, w której dano ognia. Wiele osób zabitych i rannych.

Tyflis. Pięć omnibusów z ormiańskimi zbiegami z Szuszy zostało w nocy zaatakowanych przez Tatarów, którzy mężczyzn po większej części wymordowali, zaś kobiety uprowadzili.

Dyrekcya wielkiej odlewarni Siemensa w Kedal zwróciła się do generała Szirinkina o przysłanie kozaków, gdyż w okolicy zebrały się bandy Tatarów, które grożą wymordowaniem robotników. Mimo tego nie przedsięwzięto dotychczas nic dla obrony robotników.

Kurdowie z Turcyi i Persyi w wielkiej liczbie przybyli na pomoc Tatarom kaukazkim i wraz z nimi mordują Ormian. Rzezie w Baku nie ustają, sklepy są zamknięte, ceny żywności wzrastają.

Z Batum nadchodzą wieści bardzo niepokojące. Władze tamtejsze obawiają się rzezi, podobnych jak w Baku. Rząd najął cztery parowce, które z największym pospiechem mają przewieść do Batum brygadę piechoty i artyleryę, możliwem jednakże jest, że wojsko przybędzie tam za późno. Mahometanie w Batum grożą publicznie, że żaden z chrześcijan tamtejszych nie ujdzie z życiem.

Krwawe walki w Białymstoku. Donoszą z Białegostoku, że przyszło tam znów do krwawych zajść z wojskiem. Podczas demonstracyi ulicznej nieznani ludzie rzucili na oddział wojska bombę, która pękając, zraniła ciężko dowódcę i jednego podoficera. Następnie strzelano z okien do wojska. Na dany rozkaz wojsko dało kilka salw, od których zginęło 38 osób, a 40 odniosło rany.

Białystok, widownia krwawych zajść z wojskiem, które tam „hula" po swojemu, jest miastem powiatowem na Litwie i leży nad rzeką Białą w gubernii grodzieńskiej, na skrzyżowaniu się kolei warszawsko-petersburskiej i brzesko-grajewskiej, w odległości około 160 kilometrów od Warszawy. Należał niegdyś

jako wieś do Stefana Czarnieckiego, a później przeszedł w ręce Klemensa Branickiego. który tam w odbudowanym zamku urządził sobie siedzibę. Za wpływem Branickiego w połowie XVIII. wieku Białystok został podniesiony do rzędu miast i szybko się podniósł. Spadkobiercy Klemensa Branickiego sprzedali Białystok królowi pruskiemu, od którego w r. 1809 odkupił go car Aleksander I. Od r. 1794 do r. 1807 Białystok należał do Prus, a w r. 1808 przyłączony został do Rosyi. Niegdyś okolica najbliższa Białegostoku posiadała piękne ogrody i pałace. W połowie ubiegłego wieku zaczęły tam powstawać fabryki. Jak szybko wzrastał Białystok, świadczy fakt, że w r. 1857 liczył tylko 13.787 mieszkańców, a w r. 1889 już 57 629. Liczba fabryk wzrosła do 170, których wyroby przedstawiają roczną wartość 5 milionów rubli. Dekanat katolicki w Białymstoku należy do dyecezyi wileńskiej i obejmuje 15 parafij. Powiat białostocki, prócz miasta ma 108.791 mieszkańców, a z tego 72 728 katolików, 17.146 prawosławnych, 5306 protestantów, 21.354 żydów, 69 mahometan. W r. 1889 liczono w powiecie 79 fabryk sukna, 150 młynów, 16 gorzelń, 9 browarów, 2 fabryki terpentyny, 8 cegielń, 25 garncarń, 1 przędzalnię bawełny, 1 farbiarnię i 2 garbarnie.

Wspólnemi siłami. W pewnej wsi w Królestwie, nad Wisłą położonej, rośnie duża kępa wiklin odgrodzona od wsi odnogą Wisły. Gospodarze tamtejsi wzięli się na sposób, gdy woda małą była, ubili tamę wspólnemi siłami w tem miejscu, gdzie woda wpływała do odnogi. Z wiosną, gdy woda większą była, zamuliła to miejsce, naniosła piasku, lecz gdy opadła, pozostała tylko w swoim korycie, a na tem miejscu, gdzie dawniej nieużytecznie ledwie się sączyła, rośnie już dzisiaj wierzba koszykarska, z której włościanie wyplatają koszyki i sprzedają na targach. Z czasem gdy się grunt ulepszy, obrócą go na pole orne.

Niechże i nasi gospodarze mieszkający nad rzekami, pójdą za ich przykładem, a praca około ubicia tamy, dobrze im się opłaci, bo woda nie będzie im robić szkody w polach, i będą mieli pręty wierzbowe a wyplatanie koszyków.

O pożarze Niżniowa. W Niżniowie wybuchł pożar, który się szerzył ze straszną gwałtownością, tak, że w przeciągu kilku godzin objął 100 budynków, szalejąc i przenosząc snopy z dachów o kilkadziesiąt metrów, szerząc spustoszenie straszne. Ludzie byli wszyscy w polu, przeto ratunek był zupełnie niemożliwy. Wiatr, szalejąc, drwił formalnie z ratunku, jaki niesiono. Ludność znalazła się nagle w strasznej nędzy, gdyż z pól zostało już wszystko zebrane i spłonęło w gumnach. Został im kij żebraczy, a chwilowo nawet do ust co włożyć nie mają. Pospieszyła z ratunkiem straż ogniowa z Tłumacza, lecz pomoc trudna, bo wody i rąk brak. Ludzie padali z utrudzenia, wody w studniach brakło. Szkoda obliczalna wynosi do 100 000 koron, co do ubezpieczenia zaś, to — jak zwykle — lud nasz za ciężki do tego. Jest może jakich 18 do 20 asekurowanych, lecz cóż znaczy asekuracya chatki na 300 koron, jeśli właściciel jej poniósł szkodę zupełnie dla niego nieobliczalną, gdyż pracując w pocie czoła całe lato, nagromadził, aby wyżywić rodzinę i siebie, a to wszystko poszło w jednej chwili z dymem. — Strach patrzeć na tych biedaków, którzy rano odeszli, zostawiając cały swój dobytek, a powróciwszy, zastali popioły. Strat w drobiu i bydle obliczyć się na razie nie da,. co zaś do ofiar w ludziach, prócz oparzeń, innych wypadków ani śmierci niema.

Datki na pogorzelców przesyłać można na ręce ks. proboszcza Michała Paprockiego w Niżniowie.

Obcy przybłęda. Do ustronnej wsi Mereckich przyszedł w jesieni jakiś obcy człowiek, ubrany choć było zimno, w letni kubrak. Wstąpił do chaty pewnej wdowy, która z 19-letnim synem mieszkała, i prosił chłopca, żeby go odwiózł do pobliskiego miasteczka, za co obiecał zapłacić mu rubla. Gospodyni nie tyle dla zysku, ile z dobrego serca zgodziła się na to. Nakarmili obcego, dali mu ciepły kożuch na drogę, chłopiec wziął drugi i pojechali. Czekała matka powrotu swego jedynaka, czekała dzień jeden, drugi, tydzień i miesiąc, a chłopiec nie wracał.

Chyba już nie żyje, biadała matka, bo gdyby żył, dałby znać o sobie. Aż oto po kilku miesiącach domysły jej się sprawdziły. Niedawno ten sam przybłęda najął sobie w innej wsi podwodę. Wiozący go człowiek wstąpił nocą do chaty, w której się świeciło, dla zapalenia fajki, a ów obcy z koniem został na drodze. W chacie szyli szewcy, a jako ludzie ciekawi i bywali po świecie, zaczęli się rozpytywać z kim jedzie i dokąd. Wieśniak odpowiedział, że wiezie jakiegoś obcego, który go wynajął. A czy on ma palce u rąk? Wieśniak odpowiedział, że niema. Więc zawołajcie go tu, żeby się zagrzał. Gdy obcy przyszedł do chaty, szewcy tak mądrze wzięli się do niego, iż przyznał się, że to on zabił tego chłopca z Mereckich i pokazał miejsce w lesie, gdzie trupa porzucił. Znaleziono już tylko nogi i jedną rękę, reszta była zjedzona zapewne przez wilki. Dobroć serca i gościnność, to ładne zalety, ale z obcymi trzeba być ostrożnym, a szczególnie z tymi, którzy mają palce połamane, lub wcale ich nie mają, bo w tych stronach włościanie w ten sposób karzą złodziei złapanych na uczynku, że im odcinają lub łamią palce.

Długowieczna rodzina. W mieście Kolumbii w Ameryce Północnej, mieszka rodzina murzyńska Forsterów. Głową jej jest Ryszard Forster, który ukończył niedawno 126 lat życia. Z młodszych jego braci

jeden umarł mając 117 lat, a drugi w 107-mym roku życia. Siostra Forstera żyje już 111 lat i ma 19 dzieci.

Nieszczęścia często chodzą w parze. W pewnej włości w Królestwie, poszedł gospodarz rznąć sieczkę na sieczkarni, dopomagała mu w tem matka żonina. Gdy sieczkarnia była w największym rozpędzie, pękło koło z kosami, i jedna część uderzyła kobietę w głowę z taką siłą, iż bez przytomności, krwią zalana, padła na ziemię. Przerażony zięć, wypadł z krzykiem na podwórze wzywać ratunku. Usłyszała ten krzyk żona jego, która w izbie usypiała dziecko w kołysce, zostawia niemowlę samo i wybiega zobaczyć co się stało. Wpadłszy do stodoły, podnosi wraz z mężem ukochaną matkę, obciera krew z jej twarzy i chcą ją przenosić do domu, w tem przeraźliwy krzyk dziecka dochodzi do nich. Ojciec pędzi co tchu, wpada do domu, i oniemiał z przerażenia. Wielka świnia, ich własna, włóczy dziecko po ziemi okropnie już pokąsane, bez rączki, z wyżartą buzią. Ojciec schwycił nieszczęliwe maleństwo, które w strasznych cierpieniach w parę godzin umarło. Pokaleczoną matkę odratowali. Niech ten straszny przykład posłuży i naszym gosposiom, a szczególnie młodym matkom za naukę, żeby nigdy dziecka samego w domu nie zostawiały, a szczególniej przy otwartych drzwiach.

Z Ameryki północnej. W Nowym Jorku jest kolej żelazna, urządzona na słupach, która przechodzi ponad ulice w wysokości między 1 a 2 piętrem. Otóż niedawno, z powodu złego przestawienia zwrotnicy, pociąg, mający trzy wagony napełnione robotnikami spieszącymi do pracy, przerwał się, i jeden wagon pełen ludzi spadł na ulicę i zgruchotał się na miazgę. 25 ludzi zginęło, 30 jest rannych, bo wagon spadając, przygniótł sobą i tych, którzy pod nim byli na ulicy. Drugi wagon sparł się na balkonie jednego z domów i w ten sposób ludzie z drugiego i trzeciego wagonu ocaleli.

Runięcie brzegu morskiego. W pobliżu Hawru, zwaliły się skutkiem ciągłych deszczów, skały kredowe, tworzące brzegi morskie, Olbrzymia masa obejmująca 700.000 metrów kubicznych, runęła do morza, pociągając za sobą stojącą na szczycie baterye forteczną i budynek latarni elekrycznej. Liczby ofiar, które utraciły życie w tej katastrofie, dotychczas nie sprawdzono. Znaleziono tylko zwłoki dziewczynki, zabitej przez spadające kamienie.

Trzęsienie ziemi w Kalabryi. Katastrofa trzęsienia ziemi, która we wrześniu nawiedziła południowe Włochy, należy do najcięższych i największych rozmiarami jakie zapisała historya trzęsień wulkanicznych, Wedle doniesień pism włoskich i urzędowych depesz cały pas Kalabryi od Monteleone do Cosensy, obejmujący 43 wsi i miasteczek, padł ofiarą katastrofy. Miasta i wsie przedstawiają całkowicie widok zwalisk. Spiętrzone gruzy tworzą wały nieprzebyte, z pośród których rozlegały się rozpaczliwe jęki i wołania o pomoc ludności, obozującej pod gołem niebem. Kilka tysięcy ludzi znalazło śmierć pod gruzami, kilkanaście tysięcy jest rannych, a przeszło 60 tysięcy udzi pozostało bez dachu i środków do życia. Najciężej dotknięte zostały miejscowości: Stefanaconi, Piscopio, Zammaro i Triparni. W niektórych z wymienionych miejscowości nie został kamień na kamieniu.

W mieście Monteleone trwało trzęsienie 43 sekund. Nędza ludności i rozpacz uchylają się od opisu. W dniu 12 września do Monteleone przybył król Wiktor Emanuel z ministrem Ferrarisem, zwiedził osobiście miejscowości nawiedzone trzęsieniem i rozdzielał zapomogi. W Triparni podczas pobytu króla zawaliło się kilka domów, oraz dało się uczuć kilka silnych uderzeń podziemnych.

Ofiarność miast włoskich i zagranicy stara się złagodzić dolę nieszczęśliwych i zmniejszyć rozmiary klęski. Z całego kraju płyną hojne zapomogi od stowarzyszeń i gmin — ale największa nawet ofiarność nie jest w stanie w obecnej chwili zaspokoić potrzeb Król włoski ofiarował 100 000 lirów, królowa 50.000 książę Aosta 10.000, miasto Medyolan 50.000, kasa oszczędności tamtejsza 100 000 lirów, bank parysko-holenderski 5000 franków. Rozdawaniem zapomóg i usuwaniem gruzów zajmuje się wojsko. Do ostatniej chwili zdołano zaledwie część ofiar zagrzebanych pod gruzami wydobyć i pochować.

Król włoski na jachcie „Jela" udał się na wyspę Stromboli, aby obejrzeć działanie wulkanu i rozmiary klęski na wyspach okolicznych.

Ks. Alfani, pracujący we florenckiem zakładzie meteorologicznym, wyraził obawę przed dalszemi wstrząśnieniami ziemi w Kalabryi. Król włoski objeżdża niestrudzenie Kalabryą, a wszystkie dzienniki nie szczędzą królowi pochwał. Król potępił surowo obojętność i bierne zachowanie się pewnej części zamożnych kół wobec katastrofy. — Żołnierzom, którzy pod palącemi promieniami słońca pracowali nad usuwaniem gruzów, nie chciano w niektórych miejscowościach dać nawet wody. — W Borgia wieśniacy ustawili obrazy 12 patronów świętych pod drzewami na głównym placu i modlili się do nich pośród dymów kadzideł, nie myśląc o pomaganiu żołnierzom którym burmistrz odmówił wody. „Święci — rzekł król do przyjmującej go ludności — nie potrzebują takiej niechrześcijańskiej czci". W Martirano burmistrz mówił królowi, że nie mógł pospieszyć do swoich współobywateli z powodu popsutego gościńca i przerwy w ruchu kołowym. „Trzeba było iść pieszo — odrzekł król. — Cała droga wynosi 4 kilometry". Wystąpienie króla napawa otuchą Kalabryjczyków, zwłaszcza, że król przyrzekł im stanowczo pomoc z kasy państwowej. Pogoda jest piękną i baraki zo-

staną prawdopodobnie zbudowane przed nadejściem dżdżystej pory. Ruch kolejowy odbywa się bardzo powoli. Pociąg pospieszny z Neapolu do Pizzo idzie zamiast 8 godzin 13, a nawet 14.

Trzęsienie ziemi w Kalabryi powtarza się nieustannie. W poniedziałek rano dało się uczuć gwałtowne trzęsienie ziemi w Monteleone, co wywołało popłoch pośród ludności. W Reggio di Calabria trzęsienie ziemi powtórzyło się w nocy z poniedziałku na wtorek i we wtorek rano. W prowincyach Catanzaro i Cosensa ponowne wstrząśnienia ziemi wyrządziły dalsze i to znaczne szkody. W Cosensa runął gmach urzędu telegraficznego. Dnia 18 września trzęsienie ziemi nawiedziło miejscowości: Scigliano, Rose Ajello, Rogliano, Visignano i Fiumefreddo. W miejscowości Fambrone koło Monteleone wydobyto z pod gruzów domu pewnego wieśniaka, który tam bez pożywienia przeleżał 9 dni.

Chociaż Kalabrya była niegdyś kolebką prastarej cywilizacyi, dzisiaj kraina ta jest zaniedbana i leży na oboczu od wielkich szlaków oświaty. Środki komunikacyjne pozostawiają tam wiele do życzenia i dlatego akcya ratunkowa idzie stosunkowo bardzo powoli. Urzędowe doniesienie podaje, że w prowincyi Catanzaro 47 miejscowości uległo katastrofie w prowincyi Cosensa 45, prowincya Reggio di Calabria najmniej ucierpiała, chociaż w r. 1894 tutaj właśnie najbardziej dało się odczuć trzęsienie ziemi.

Katastrofa — pisze jeden z dzienników — zaskoczyła mieszkańców Kalabryi nocną porą pomiędzy godziną 2 m. 44 a 2 m. 50. Przerażeni mieszkańcy wybiegali z domów w bieliźnie, wołając: „trzęsienie ziemi!“ Domy bardzo szybko waliły się, mnóstwo więc ludzi straciło życie bądź w łóżku, bądź tuż pod drzwiami. Lepianki, których jest w Kalabryi jeszcze bardzo dużo, mimo swej lekkości zapadały się pod własnym ciężarem, a zwłoki wydobywane z pod gruzów nie okazywały większych ran. Widocznie mieszkańcy lepianek ulegali uduszeniu pośród zapadłych ścian. Domy murowane oczywiście rozsypywały się rychło w gruzy, które zabijały mieszkańców, miażdżąc ich często. Po wsiach ocalało wielu robotników, którzy w nocy wybrali się na pola ryżowe, ażeby jak najprędzej zebrać ryż z plantacyj wielkich właścicieli.

Obecnie więcej, niż połowa ludności kalabryjskiej obozuje pod gołem niebem, obawiając się nowego trzęsienia ziemi. Szczęściem należy nazwać okoliczność, że trzęsienie ziemi wydarzyło się w ciepłej porze. Gdyby katastrofa ta spadła na ludność w lutym, ubodzy Kalabryjczycy, źle odziani, ucierpieliby ogromnie od zimna. Podczas trzęsienia ziemi, na wyspie Ischia spora liczba ludzi została żywcem pogrzebaną, ginąc powoli z głodu i wycieńczenia. Tym razem w Kalabryi, dotąd przynajmniej, nie wydobyto z pod gruzów ofiar, któreby, sądząc z rozmaitych oznak, zginęli powolną śmiercią. Jeżeli są jeszcze takie ofiary, to bardzo niełatwo o ratunek dla nich, katastrofa bowiem objęła ogromny obszar, co utrudnia pomoc ratunkową.

Nędza w Kalabryi dosięgła obecnie szczytu. Ci którzy uratowali swe życie, zazdroszczą teraz umarłym, niczego już niepotrzebującym. Wszystkie środki żywności zostały zniszczone, a chleb wysyłany z dalszych okolic nie wystarcza nawet dla połowy głodnych. Gmina miasta Messiny wysyła codziennie 2000 kilogramów chleba wojskowego do Reggio, ilość ta jednakże jest za mała, chociaż Reggio należy do miejscowości, które mniej ucierpiały. W Parghelia, gdzie ani jeden dom nie nadaje się do zamieszkania, tłum na dworcu kolei napadł na pociąg, wiozący chleb do Monteleone i splądrował go. Urzędnicy i służba kolejowa spoglądali bezradnie na ten rabunek, dokonany przez głodnych z krzywdą dla innych głodnych. Z 11 centnarów metrycznych chleba doszło do Monteleone niewiele, na szczęście miasto Catamaro wysłało tam 36 centnarów.

Jako znamienną cechę obecnej katastrofy podnoszą mieszkańcy Kalabryi fakt, że tym razem zwierzęta nie przeczuły, jak zwykle, trzęsienia ziemi. Nie zapowiadał go także huk, podobny do grzmotu, który nastąpił dopiero po pierwszem i najsilniejszem wstrząśnieniu. W Tiriolo miał spaść deszcz popiołu, w Pizzio morze cofnęło się o kilka metrów, fale rzeki Angitola spiętrzyły się, a kilka źródeł niedaleko wybrzeża zniknęło. Wszędzie panowało przed katastrofą duszne powietrze, a na jasnem niebie ukazywały się błyskawice.

Mrówki afrykańskie jako pożywienie. Belgijski Jezuita O. Sadin, który przez czas dłuższy był misyonarzem w kraju Kongo w Afryce, opisuje o dziwnym apetycie krajowców — na białe mrówki. Pewnego wieczoru ujrzał kilku Murzynów, którzy nadzwyczaj szybko zbierali coś z ziemi i do ust podnosili. Nad tą grupą unosił się obłok, który misyonarz wziął w pierwszej chwili za płatki, które zamiast spadać na ziemię, podnosiły się one w górę. Były to białe mrówki, które z wiosną dostają skrzydeł na bardzo krótko, rano wzbijają się w obłoki, wieczorem tegoż dnia opadają na ziemię i tracą skrzydełka. Murzyni korzystają z tej chwili aby je zjadać i są bardzo łakomi na ten przysmak. Mrówki mają 1 — 1½ ctm. długości i 1 milimetr szerokości.

Odczyty Finlandczyków w Krakowie. Odczyt prof. uniwersytetu z Helsingforsu dra Matti Heleniusa zgromadził nader liczną publiczność, która szczelnie zapełniła salę Kopernika w gmachu uniwersyteckim. Prelegent starał się wyczerpująco przekonać zgromadzonych o szkodliwości alkoholu. Opierając się na dziele znakomitego statystyka Beera, twierdził prele-

gent, że alkohol znacznie większą powoduje śmiertelność. aniżeli wszelkie inne trucizny, dlatego powinno się go zwalczać, tak, jak się zwalcza wszelkie trucizny. W Finlandyi używanie alkoholu rozpowszechniło się w 18 i 19 wieku z winy lekarzy ówczesnych, którzy alkohol uważali za znakomity środek leczniczy i jako taki polecanym był w każdym podręczniku lekarskim. Jeszcze do końca 18 wieku rząd sam wódkę wyrabiał, a księża pić kazali. Dopiero w 19 wieku poczęto walkę z alkoholizmem, gdy badania wykazały, że korzyści dla organizmu zdrowego żadnych z alkoholu niema, przeciwnie, alkohol działa trująco na wątrobę, na serce, a nawet cały organizm czyni nieodpornym na wszelkie inne choroby. W podjętej przed ćwierć wiekiem walce z alkoholem przekonano się, że ani zbytniem opodatkowaniem, ani monopolami wiele osiągnąć się nie da. Najskuteczniejsząby była ustawa, pozbawiająca jednostkę zupełnie zysków, a przekazująca zyski na cele publiczne np. na zabezpieczenie w starości, na biblioteki publiczne itd.

Najnowsze ustawodawstwo finlandzkie zakazuje w zupełności drobnej sprzedaży wódki, a pozwala na to tylko towarzystwom akcyjnym, mającym na to monopol, a które to towarzystwa zysków żadnych z tego nie ciągną, tylko na cele ogólno-publiczne przeznaczają. Nawet z zagranicy wódek sprowadzać nie wolno. Ustawodawstwo zmierza do powolnego zniesienia browarów i gorzelń.

W dalszym ciągu twierdził prelegent, że reformy takie nie dadzą się przeprowadzić wbrew opinii publicznej, ale wyraża nadzieję, że przykład, jaki daje Finlandya i Norwegia pod tym względem, podziała, i walka z alkoholizmem energicznie prowadzoną będzie.

Wódka a cholera. Kto pije wódkę, albo inne napoje spirytusowe, pięć razy łatwiej zarazi się cholerą, niż ten, kto niema krwi spirytusem zatruwanej. Lekarze uczeni dobadali się, że spirytus czyni człowieka słabszym wobec cholery. Kiedy z pośród stu ludzi nie pijących wódki zachoruje na cholerę jeden, to ze stu ludzi pijących zachoruje na nią pięciu. Daleko też łatwiej wyzdrowieje, zachorowawszy na cholerę, człowiek nie pijący wódki wcale. Ze stu takich chorych umiera 19, a zdrowieje 81. Tymczasem ze stu ludzi pijących wódkę, arak, lub w dużej ilości piwo i tym podobne napoje, jeśli zapadną na cholerę, umiera aż 91, a tylko 9 wraca do zdrowia. Jakaż to nauka dla wszystkich, żeby jak najprędzej, teraz zwłaszcza, gdy cholera stoi u progu, wódkę i piwo pić zupełnie zaprzestali.

Cholera. Starzy ludzie mówili, iż zwykle po wojnie wybuchała cholera. Mogło to być bardzo prawdopodobnem, bo z tylu ciał źle pokrytych ziemią, wychodziły zatrute gazy, unosząc z sobą szkodliwe ludziom zarodki chorób. Teraz, dzięki Bogu, niema tego wypadku, bo w Mandżuryi, gdzie setki tysięcy ludzi poległo, nic o niej nie słychać, a jednak, musi ona gdzieś być w Rosyi utajona, bo jakiś flisak przypłynąwszy Wisłą do Gdańska, przyniósł ją z sobą. Straszna ta choroba bardzo się prędko rozchodzi po świecie, ale energia ludzka dzielnie z nią walczy, stawiając tamę dalszego rozwoju. W kilku miastach w Prusach już się pojawiła, zachorowało około 150 osób, z których 60 padło ofiarą. O dalszym rozwoju nie słychać, więc może da Bóg, że i do nas nie przyjdzie, ale że „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ jak mówi przysłowie, więc bądźmy ostrożni. Szczególnie należy dbać o czystość w domach i obejściach, bo zarodki tej strasznej choroby najwięcej rozmnażają się w ludzkim kale. Więc takie miejsca ustępowe należy przysypywać ziemią lub trocinami i potrząsać trochę proszkiem karbolowym, a w braku tego i wapnem. Należy uważać też i na pokarmy, na dzieci szczególnie, które lubią objadać się surowemi jarzynami jako to karpielami, rzepą lub marchwią. O ile jarzyny gotowane są zdrowe, o tyle surowe sprawiają zaburzenia w żołądku. Zaziębienia także należy się wystrzegać a w każdym domu powinna być mięta pieprzowa i przy najmniejszych niepokojach żołądkowych odwar z niej popijać, a liśćmi gorącemi żołądek okładać.

O wykupno skonfiskowanych polskich majątków na Litwie. Po 1864 roku, różnemi czasy wielu Polaków zesłanych na Syberyę, pragnęło — jak wiadomo — powrócić do kraju. Osoby te, jakkolwiek po amnestyi przywrócono im prawa obywatelskie na równi z pozostałemi osobami pochodzenia polskiego, były jednak, na zasadzie prawa o polskiej własności ziemskiej w kraju, pozbawione możności starania się o przywrócenie im prawa własności nieruchomych, które skonfiskowano w r. 1864, jakoteż starania się o przywrócenie im prawa nabywania ziemi. Obecnie, jak pisze „Gazeta sądowa warszawska“ wiele osób tej kategoryi, oraz spadkobiercy takich osób, wobec prawa z dnia 14 maja b. r., wszczęło sprawę co do wyjednania u władz właściwych prawa nabywania tych majątków, które przed laty należały do nich, a następnie były skonfiskowane przez rząd i sprzedane Rosyanom, w których rękach pozostają dotychczas. Ponieważ prawo z dnia 14 maja b. r. pozwala Polakom jedynie na nabywanie na Litwie majątków wyłącznie z rąk polskich, przeto decyzya w tej sprawie będzie miała bardzo doniosłe znaczenie.

Katastrofa „Mikazy“. Donoszą z Tokio o zatonięciu okrętu admiralskiego „Mikazy“ na którym dzielny admirał Togo odbył całą wojnę. W pobliżu głównego masztu wszczął się ogień, który się rozszerzał z nadzwyczajną szybkością. Natychmiast ze wszystkich okrętów wojennych stojących w porcie, wezwano załogę do ugaszenia ognia. Pomimo szyb-

kiej pomocy, ogień dostał się do magazynów amunicyi, spowodował wybuch, wskutek którego okręt wkrótce zatonął, przyczem poniosło śmierć w nurtach morza 599 marynarzy. „Mikaza“ był jednym z największych okrętów w flocie japońskiej i strata jego wszystkich poruszyła; sądzą jednak, że da się go wydobyć, a wtenczas okaże się, czy zatonięcie było przypadkowe, czy też nieprzychylną ręką spowodowane.

Leki konowalskie. We wsi Suchej pod Zwoleniem, w gubernii radomskiej, zachorował gospodarzowi koń. Gospodarz wezwał znanego niby konowała, też gospodarza we wsi Czarnej. Obejrzał on konia, i powiada: Koń nie może moczu puścić i dlatego chory. Ale na to jest łatwy sposób. — Wziął półkwaterek nafty, oblał konia i naftę na nim zapalił, mówiąc Koń się zlęknie i zaraz mocz puści. Właściciel widzi konia w ogniu, więc zaczął go ręką klepać, chciał tym sposobem ogień ugasić. Ale nafta się rozbryzgała i po całej stajni się pali. Z ogniem nie żarty. Gospodarz krzyczy gwałtu! Nadbiegli ludzie, wypchnęli konia ze stajni. Dopiero ktoś mądrzejszy rzucił na niego kapotę i ogień ugasił. Ale biedne konisko chorowało bardzo długo, zanim mu się opalenie wygoiło.

Pożar lasów. Z Orsowy nad Dunajem telegrafują: Od pięciu dni płoną lasy koło Herkulesbadu. Celem umiejscowienia pożaru sprowadzono na miejsce 800 żołnierzy. Podczas akcyi ratunkowej oberwała się skała, zabijając dwóch żołnierzy, oprócz tego jeden żołnierz jest umierający, trzech zaś odniosło ciężkie rany, jedynastu lekkie. Ostatecznie pożar udało się ugasić.

W Kukizowie wybuchł pożar, który zniszczył tę część miasta, która zaledwie się odbudowała po pożarze z przed dwóch lat. Spaliło się około 50 domów mieszkalnych wraz z zabudowaniami gospodarczemi i tegorocznemi zbiorami. Szkoda wynosi przeszło 200.000 koron. Ogień wznieciły dzieci pozostawione bez dozoru.

Samochód rolniczy. Na polach obok stacyi kolejowej w Krasnem odbyła się niedawno próba samochodu rolniczego angielskiej firmy „Iwel“, której zastępstwo na Galicyę objął lwowski „dom dla ziemian“. Samochód ten, pełniąc najrozmaitsze posługi, może wywołać znaczne zmiany w gospodarstwie rolnem, gdyż wyprze on konia i wołu z wielu zakresów dzisiejszego ich zastosowania. Wielką zaletą tego samochodu jest to, że nie wymaga żadnych przeróbek narzędzi rolniczych, używanych do tej pory. Ciągnie on za sobą każdy pług, każdą wiązałkę, każdą kosiarkę, pędzi młocarnie czy sieczkarnie, ponadto służy jako siła pociągowa do transportów półwagonowych; może zatem tam, gdzie stan dróg na to pozwala, oddać niepospolite usługi w przewożeniu zboża, węgla, młocarni parowej itp. Samochód rolniczy porusza się na trzech kołach: przednim, małem, steruje maszynista, siedzący z tyłu; oba tylne koła zaopatrzone są w poprzeczki żelazne, podobnie jak główne koło wiązałki. Siła automobilu jest 18 koni, z tego siłę około 7 koni spotrzebowuje samochód na własną lokomocyę, a siłę 11 koni oddaje obsługiwanej przez się maszynie. Automobil rolniczy 1800 klgr. i kosztuje 10.000 koron. Opalać go można benzyną, surową ropą lub spirytusem. Próbie przyglądało się około 50 osób, przeważnie rolników. Samochodu użyto do orania dwuskibowcem, trzyskibowcem i do podkładania pięcioskibowcem, a wyniki orki zadowoliły zupełnie obecnych na miejscu fachowców. Stwierdzono bowiem, używszy następnie do orki koni, że dwuskibowy pług, ciągniony przez 6 koni, wyora ciężkiego czarnoziemia ćwierć morga w przeciągu trzech godzin, gdy tymczasem zapomocą samochodu wyoranie ćwierci morga tego samego gruntu trwa 1 godzinę 4 minuty. Przy orce na lżejszej glebie stosunek powiększy się znacznie na korzyść samochodu. Obliczono również, że utrzymanie samochodu kosztować będzie wraz z spłatą kapitału, naprawą, mechanikiem itd. 22 koron dziennie, to jest taniej, niż utrzymanie dzienne 12 koni.

Stan zasiewów i żniw według sprawozdania ministerstwa rolnictwa do połowy września b. r. był ogółem biorąc dość pomyślny. We wschodniej Galicyi i na Bukowinie jednak, gdzie od kilku tygodni deszcz wcale nie padał, zasiewy cokolwiek a jesienne plony dość znacznie ucierpiały. W niektórych okolicach tych krajów z powodu ciągłej suszy zasiewy spóźniono. Rzepak runi się słabo. Kukurudza zła, zbiór nie będzie więc pomyślny. Siano niezłe co do gatunku, w ilości jednak słabe. Kartofle również nieszczególne w Galicyi i na Bukowinie. Buraki dość dobre, w niektórych jednak okolicach więcej aniżeli słabe. Kopanie rozpocznie się około 25 b. m. Kapusta niedopisała. W innych krajach monarchii stan zasiewów i żniw jest dosyć pomyślny.

Od Administracyi.

Od paru lat w czasie wakacyjnym wydajemy w miesiącu lipcu podwójny numer gazetki, t. j. za dwa miesiące, a więc za lipiec i sierpień — następnie zaś w październiku również za dwa miesiące, j. j. za wrzesień i październik.

Dawni prenumeratorzy i prenumeratorki *Przodownicy* już wiedzą o tym zwyczaju — nowych przepraszamy serdecznie za nieuwiadomienie ich o tem.

Przypominamy i prosimy o wyrównanie zaległej prenumeraty, jak również o jednanie nowych prenumeratorek i prenumeratorów.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

MOGIŁKI.

Wszystko Zośka Wojciakowa złożyła w mogiłki; i matulę, która jedynaczkę pieściła, chuchała, i ojca, co całej wsi był opiekunem i dobrodziejem, i nadzieje wszystkie, co jakby jasne słonko przyświecało młodemu jej życiu Straciła wszystko, został jej jeno Walek, braciszek, ale zapomniała o nim w tej swojej boleści serdecznej.

A tak było:

Młodziutką, bo siedmnastoletnią dziewkę odumarła ją matka. Pamięta, było to w jasny, wiosenny poranek. gdy czeremcha mocną swą wonią napełniała powietrze; ostatnia grudka ziemi spadła na czarno pomalowaną trumnę, ludzie rozeszli się, zawodząc nad dolą dwojga sierót. Ojciec, pociągnięty przez kilku gospodarzy, do karczmy poszedł zalać robaka, a ona stała jeszcze, ściskając maluchną rączyną braciszka. Stała, a patrzała w świeżą mogiłkę, jakby upatrując, czy nad nią nie unosi się jeszcze biała duszyczka tej matuli ukochanej, co tak rychło odeszła od nich, zostawiając w ich sercach cierń, co tak boli — tak boli! Ale dusza matki królowała już między sprawiedliwymi, bo dobrą była i matką i żoną i sąsiadką usłużną, i nigdy żadnej nie opuściła sieroty ni żebraka, nie wypuściła z chaty, żeby go czem nie obdarzyć.

Więc zwróciła się Zośka ku wsi i szła z głową spuszczoną i smutnym myślom opędzić się nie mogła, bo opadły ją jak złe komary, a kłuły, raniły serce bez litości. Przyspieszyła kroku, a Walek zdążyć jej nie mogąc drobnymi nóżynami dreptał, a tchu mu ledwie stało. Nagle, kiedy w stronę plebanii skręciła, ujrzała chłopca rosłego, co pod topolą stał i widać na nią czekał.

Błysło słonko w duszy Zośki, chociaż przez słonko to niejedna przeszła chmurka: Antek, zamożnego gospodarza syn, do żadnej roboty zabrać się nie chciał, a tylko wstyd i zgryzotę ojcu przynosił.

— To ty tu? — zapytała, stanąwszy naprzeciw chłopca.

— A ino; przyszedłem, skorom się dowiedział, że u was w chałupie niedola.

Zalała się Zośka łzami, a chłopak na łzy ukochanej Zośki patrzeć nie mogąc, oczy spuścił. Ale po chwili podniósł głowę, a w pięknej twarzy zabłysła dobra jakaś myśl.

— Zośka...

Ona łzy fartuchem otarła.

— Zośka, ja już inny teraz będę.

— O Antku! — pokraśniała dziewczyna z radości — czy to tylko prawda?

— Prawda, jak Bóg na niebie — zaklął się chłopiec — wrócę do ojca zaraz jutro, do orki się wezmę, bo i zbrzydło mi takie życie, i umiłowałem ciebie, więc teraz mi ciebie wziąć, boś sierota.

— Bóg ci zapłać, Antku, że lepsze myśli teraz na ciebie przyszły, i mnie lżej będzie przy tobie; teraz, tatuś mój myśleś nawet o tem nie pozwoli, bo i prawda, ludzie ci od próżniaka i pijaka wymyślają, a cóż ja im na to rzec mogę, skoro prawda — dodała ciszej — ale teraz, o teraz, to mi się Antek odmieni!

— Odmieni się, Zośko moja, odmieni.

I poszli razem do wsi, ale w miejscu, gdzie się kończy równiutki rządek topolek, rozejść się musieli, boby ich ludzie wnet wzięli na języki. a tego bała się Zośka więcej niż ognia. Kiedy Wojciak do chałupy wrócił, Zośka już się koło gospodarstwa krzątała i chociaż od czasu do czasu łzy jeszcze z oczu płynęły, patrzała jakoś weselej tak, że i staremu jaśniej się jakoś na duszy zrobiło. Spojrzał na córkę i zapytał:

— Zośka, a dasz ty radę wedle gospodarstwa i wedle dziecka?

— A, cobym nie dała, tatusiu! Ino chcieć, a wszystko będzie.

— O! takaś ty!

— A ino! Ale wiecie co tatusiu, Antek już się przeinaczy.

— Mówił ci?

— Przysiągł! Powiedział, że mu już życie takie zbrzydło, i że do ojca na rolę wróci.

— Dałby Bóg, dałby Bóg! bo to i młody, i zdrowy i familiant — ino zamiast z ojcem na roli pracować, on po świecie się włóczy... tu zarobi, tam przepije, ot, marnuje się chłopczysko i tyle. I jakże takiemu się żenić, gdy chaty pilnować nie umie, jakże takiemu gospodarską córkę brać?

— Przysiągł, tatulu!

— Ano, zobaczymy, jaka to ta jego przysięga. Nie pierwszać to pono.

— Ale najlepsza, tatusiu! widzicie, ukłuła go niedola moja, tak i wrócił, choć go do grania chcieli, no i przysiągł.

— Żeby on tylko umiał dotrzymać, żeby ino umiał chcieć! bo widzisz, Zośka, jak kto czego bardzo chce, a dobrego, to Bóg dopomoże... tylko trzeba chcieć, trzeba umieć chcieć, a nie być, jak ta trawka, którą wiatr na każdą stronę ugnie.

I mijały dni wiosenne, kwiecie drzew owocowych rzucały swe płatki, które wiatr niby śniegu kruszyny po świecie roznosił, trawa na mogiłce Zościnej matuli porosła, Antek z ojcem pracował, i Wojciak wraz z gromadą wierzyć zaczął, że go czart opuścił. Zaglądał też często do Wojciakowej chałupy, a jagody Zośki kraśniały radością, bo o zapowiedziach zaczęto we wsi mówić, a stary Wojciak nie gniewał się o to, lecz włosy dziewczęcia gładząc, pytał:

— A o sierocie Walku, nie zapomnisz wtedy córko, gdy cię mąż do swej chaty zawiedzie?

— Nie zapomnę, tatusiu! — zawołała dziewczyna gorąco, i dziecko porwawszy, z miłością do piersi tuliła.

A lato zbliżało się ku końcowi. Pola złociły się pełnymi kłosami, drzewa uginały się pod ciężarem zielonych jeszcze owoców; urodzaj dopisał — ni posuchy, ni deszczu zbytniego, ni gradu, ni powodzi, rzekłbyś, że za wszystkie nieurodzaje i klęski chciał Bóg tego lata wynagrodzić ludziom bogatym plonem. Bogactwa czekała moc, ale wiedzieli ludzie, że bez pracy nie będzie kołaczy, że praca czeka ich ciężka. Nie ulękli się jej ludzie, przeciwnie, czekał jej każdy z radością — nie ulękła się jej Zośka Wojciakowna, a z niecierpliwością żniw czekała — przeląkł się jeno Antek. Kiedy wieczorem do Wojciakowej wszedł chałupy, zaraz odgadła Zośka, że mu na duszy nie swojo, jęła wypytywać, ale niczego dowiedzieć się nie mogła, a gdy chatę opuszczał, rękę starego uścisnął, Zośce długo, długo w oczy patrzał, jakby ją o przebaczenie prosił, Walka jak rodzonego ucałował, i nie widziano go we wsi więcej. Odszedł od swej ziemi wtedy, gdy go ona najwięcej potrzebowała. Zaciągnął się do bandy grajków, którzy od wsi do wsi wędrując, ludzi po karczmaeh muzyką rozweselali. Wojciak, dowiedziawszy się o tem, ze złości splunął i — jakby nieprzymierzając cygan jaki! — szeptał zły, patrząc na łzy Zośki.

— Nie płacz, bo i niema o co! pokochałaś, zapomnisz i tyla!

Ale Zośka zapomnieć nie mogła... i oto chociaż po polach roiło się od ludzi, rozbrzmiewały ich pieśni wesołe, choć na ściernikach wznosiły się złote półkopki, a zapach siana napełniał powietrze, jej się zdało, że sama jedna na świecie, że pusto koło niej i głucho I zdało jej się, że niema żyć po co, gdy ją kochanie jej serdeczne opuściło.

— Dałacyś se pokój głupia jakaś! płaczesz niby po nieboszczyku!

— Abo mi to nie zmarło szczęście moje? Pochowane ci już ono w mogiłce, aj pochowane, i nic go nie wskrzesi!

A tymczasem i lato minęło i jesień miała się ku końcowi. Białe mgły unosiły się w powietrzu zapowiadając, że wkrótce śniegi białe pokryją ziemię, co swoje zrobiwszy, bogactwa tyle ludziom dawszy, odpocząć pragnie pod białą pościelą ..

A Zośce nowa przybyła mogiłka

Stary Wojciak usnął snem wiecznym, zostawiając dzieciom gospodarstwo porządne, gruntu sporo, chatę bieloną i nieco grosza oszczędzonego na czarną godzinę. A tymczasem banda grajków rozbiła się po świecie, ten i ów wrócił do swej zagrody, bo niejednemu głód dokuczył, innego ciągnęła tęsknota serdeczna. Do tych należał Antek.

Wrócił, bo grosza trochę zarobił i mógł całą zimę nic nie robiąc przebyć u ojca w chacie, mógł co dnia widzieć Zośkę ukochaną, która, był tego pewnym, znów mu uwierzy i przebaczy. A uwierzyć musi, bo już nigdy na włóczęgę namówić się nie da, bo to i grzech całą pracę na stare barki ojca kłaść, czas też jak porządny gospodarz na roli osiąść i o własnej pomyśleć chacie.

I Zośka wierzyła, bo i jakże nie wierzyć, gdy na Zbawienie przysięgał, że już nigdy, nigdy wsi swej nie rzuci.

— Dużom się nałaził i dużom nabiedował — mówił — a com się natęsknił za tobą, to ani wypowiedzieć nie umię. Ale cóż, jak mnie złe wzięło, tak i wypuścić nie chciało. Ale teraz już inaczej, tyś sierota, tobie opiekunem mi być a Walkowi ojcem.

Radowała się Zośka i wierzyła, bo i jakże nie wierzyć takim zapewnieniom, gdy je kochane usta głoszą.

— Och! — mówiła — gdybyś mi jeszcze teraz nie dotrzymał, to już niewiem cobym zrobiła!

Minęła zima, i znów wiosna rozwinęła wszystkie swe cuda ku uciesze ludzi, znów w powietrzu woniało, las śpiewał, powietrze grało, ukochana ziemia uwolniwszy się z białego całuna wyciągała pokurczone członki rozrzucając wonie, śpiewy, kwiecie i słońca promienie. I dusza Zośki śpiewała, bo Antek na pleceniu kapeluszy przebył we wsi zimę całą — więc nowe nadzieje napełniły jej serce, świat był dla niej jasny, śpiewny i cudny!

Słonko schowało się za góry, tylko skrawek jeszcze oświecał chmurki złocąc, rumieniąc rąbki ich, różowiąc obłoczki, zostawiając na niebie ostatnie blaski. A żabki, jakby odczuwając urok tego wieczoru, śpiewały raz po raz: rade — rade — rade, kwa, kwa...

Stała Zośka u progu chaty, za rączkę trzymając braciszka.

Nagle przyłożyła dłoń do oczu, bo zdało jej się, że na łączce, za ławką rzuconą nad srebrnym strumykiem widzi Antka. Tak, to on był, szedł powoli, z głową spuszczoną, przeszedł ławkę, skręcił między jałowce, przeszedł miedzę, okręcił sad i wprost do niej się zbliżył. Walek wyciągnął do niego rączęta; ale ją coś tknęło. Spojrzała mu w oczy, jakby przez nie do duszy zajrzeć chciała, i musiała tam odgadnąć coś niedobrego dla siebie, bo nagle zmarkotniała. A jemu trudno było wyrzec słowo.

— Nie wytrzymam — wykrztusił nareszcie.

— Oj prawdę mówili nieboszczyk tatuś! — westchnęła — nie umiesz ty chcieć — nie twoja, ale wola innych tobą rządzi — oj nie chłop ty, skoro chcieć nie umiesz!

— Nie wytrzymam, powtórzył, — jakby jej lamentów nie słyszał — rwie mnie do świata, namawiają inni ta i idę daleko, het za morze — tam inny kraj, obcy ludzie, bogatsza ziemia. Wrócę jak król bogaty, a potem wybuduję nie chatę chłopską, ale zamek wielki, a ty Zośka czekać będziesz?

— Czekać będę, ale ty nie wrócisz, a jak wrócisz to sponiewierany i nie zamku chciałam, nie bogactw twych ino duszy twojej, żeby była jak śnieg biała. Ale ty ją między obcymi zbrukasz, a stary twój tatuś do reszty ze zgryzoty zmarnieje. Jednego tylko ciebie miał — a i ja tylko ciebie na całym szerokim świecie. I znowu szczęście moje, co na tak krótko odżyło, pójdzie w grób... znów nowa mogiła i nowe dla mnie łzy. — I zapłakała Zośka, a choć z nią razem i serce jego płakało, nie ustąpił.

Łamała Zośka dłonie po jego odejściu, jęki wydobywały się z jej piersi. Mrok zapadł, na błękicie ukazała się gwiazdka jedna, potem druga, trzecia, potem ich setki, tysiące, miliony zahaftowały niebo — a na świecie cisza, świegot ptasząt cichł coraz bardziej, lekki wietrzyk zawiewał, a w duszy Zośki huczała burza; coś tam jechało okropnie, szlochało, szarpało jej serce w kawały. Tak prawie, jak wtedy, gdy matula poszła od niej, i gdy tatusia w zimny grób kładła... a teraz nowy grób, świeża mogiła.

— Po co żyć? na co żyć? dla kogo żyć szeptała, siedząc w ciemnym kącie izby, a szept ten przeszedł w modlitwę o rychłą śmierć, o wybawienie z niedoli i cierpień — ale modlitwa nie uspokoiła jej, więc rzuciwszy się na pierzynę jęczała bezradna. I tak ją sen zmożył. I ujrzała we śnie mogiłki swoje, w których pochowała swoje ukochane istoty, matulę i tatusia, a dalej zdało się jej, że widzi mogiłki, w których pochowała swoje szczęście. Patrzała na te groby z rozpaczą w sercu i urazą do życia, co jej już nic na ziemi nie zostawiło. Nagle, między mogiłkami rodziców ujrzała małą, jasną gwiazdkę. Ciekawa, co ona znaczy, patrzała w nią ciekawie, a ona rosła, rosła w jasność i promyki unosząc się nad grobami a taki blask bił od niej, że aż patrzeć w nią było trudno. I nagle, z pośród jasnych promieni ujrzała bladą twarzyczkę dziecięcą. Wpatrzyła się w błękitne oczęta, i poznała w nich oczy Walka, a w uśmiechu usteczek czerwonych poznała uśmiech braciszka, i powoli, powoli wyłoniła się cała postać dziecka, które do niej wyciągnęło rączęta.

I zdawało się Zośce, że duszyczka małego chce ulecieć do nieba, więc strwożona krzyknęła we śnie, a krzyk ten ją zbudził. Drżała ze strachu, a chociaż na posłaniu leżała, jeszcze jej trudno było uwierzyć, że to sen. Więc pobiegła do łóżeczka Walka i dopiero się uspokoiła, widząc go żywym i zdrowym. Ale już usnąć nie mogła. Do świtu przemyśliwała nad dziwnym snem i starała się odgadnąć jego znaczenie. Nie trudno jej to było, bo ją Bóg oświecił podczas tej ciężkiej nocy, a gdy świtem zabrała się do pracy, zrozumiała, że Bóg oddał jej pod opiekę sierotę, że dla Walka żyć powinna, bo to cel jej życia, że grzechem jest pragnąć śmierci, gdy się jest zdrowym i młodym, że skoro nie można żyć dla własnego szczęścia, można, a nawet trzeba żyć dla szczęścia innych.

Odtąd na jasnem czole Zośki nikt nie widział chmurki, o dziecko dbała, tak, że się dziwiono, skąd u młodej dziewczyny taka umiejętność zajmowania się dzieckiem, opowiadała mu o Bogu, o zmarłych rodzicach, chodziła z nim na drogie mogiłki, gdzie mówiła głośno «Wieczny odpoczywanie» a Walek, ręczyny złożywszy, powtarzał za siostrą słowa modlitwy. A gdy ta lub owa z sąsiadek opowiadała jej o rychłym powrocie Antka, odparła:

— Wróci, tem lepiej, jeśli wróci takim jak ja go chcę mieć, to Walek ojca dostanie, a nie wróci, to i nie szkodzi, mam żyć dla kogo.

Harda dziewczyna — mówiły kumoszki; ale ona nie była harda, jeno nieszczęście nauczyło ją rozumieć życie.

Pniowerówna.

* * *

Tam gdzie Wisła ukochana
Swoje wartkie wody toczy,
Znów okrutna złość tyrana
Lud morduje nasz roboczy.

Znów krwi polskiej płyną rzeki!
Straszny obraz — jęki dziatek,
Zrozpaczonych skargi matek! —
Nawet przeszłe krwawe wieki

Nie widziały jeszcze tego —
Boże, Boże! nad tym ludem
Miejże litość! od wściekłego
Wroga ratuj choćby cudem.

Mistrz pochylił smutną głowę,
Pierś wezbrana mu zadrżała,
Lutnia skargą zajęczała,
Jakby echo łez grobowe.

* * *

I zapłakał... łzy gorące,
Łzy narodu cierpiącego,
Łzy polały się na drżące
Struny lutni — mistrza swego.

Boleść lutnia zrozumiała —
I polały się jej dźwięki,
Jak konania, łzy i jęki,
I płakała i płakała.

Wtem jasność jak słońce,
Gdy wschód opromieni,
Zabłysła dokoła
Tysiącem strumieni.

Podniósł głowę mistrz zdumiony,
Rozjaśniało mu oblicze —
On zrozumiał tajemnicze
Sądy Boże — i natchniony

Drżącą ręką w struny lutni
Swej uderzył — pieśń wesoła
Popłynęła! niechaj smutni
Swe podniosą w górę czoła.

I zawołał wielkim głosem —
»Rozwiń skrzydła, orle biały!
Leć w te strony, gdzie zbolały
Lud pod wroga pada ciosem.

Ponad polskie wzbij się chaty,
Obleć wszystkie polskie łany
I zapowiedz pożądany
Czas nagrody, dzień zapłaty.

Rychło koniec strasznej kary!
Wyzwolenia dzień się zbliża —
Przed potężną mocą krzyża
Padnie szatan — padną cary.

Orle biały! leć piorunem
Pożądanym bądź zwiastunem!
Ogłoś Polsce dzień wolności,
Dzień tryumfu, dzień radości!«

ŚWIĘTA KINGA

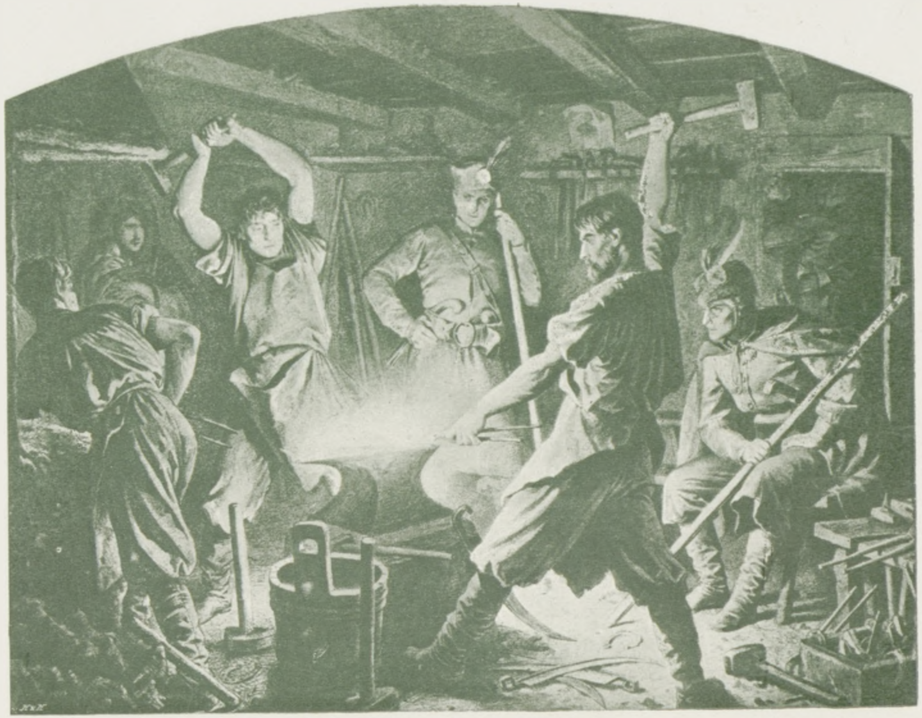
Powieść historyczna z XIII-go wieku.

Napisała

Mieczysława Śleczkowska.

(Dokończenie).

W kilkanaście lat potem, stawali często u grobu św. Kingi czterej Królewicze, z poważnym swym mistrzem, Janem Długoszem.



ARTUR GROTTGER: „POLONIA“.

3. KUCIE KOS.



ARTUR GROTTGER: „POLONIA“.

4. BITWA.

Synowie bowiem Kazimierza Jagiellończyka, wraz z Długoszem zamieszkiwali zameczek w Starym Sączu. Tu bowiem w zaciszu, obok zwłok św. Pani, łatwiej było o skupienie ducha, potrzebne do nauki, niż na świetnym zamku wawelskim, gdzie przemieszkiwał król ojciec. Grób św. Pani był żywem źródłem cnót dla królewiczów, że tak było istotnie, najlepiej świadczy o tem, że jeden z nich, Kazimierz, poszedł śladami świętej, odrzuciwszy nietrwałą ziemską koronę, zdobył sobie niebieską, w której króluje ciągle nad naszą biedną Ojczyzną.

Ależ dosyć już wyliczyłam głów ukoronowanych, chylących pokornie czoła przed tą, która tak wysoko w niebie, przez wieki była i jest patronką naszej ziemi — prócz nich i inni jeszcze goście spieszyli do grobu św. Kingi. W ciężkich chwilach życia, garnęli się doń bogaci i ubodzy, wszyscy z tą wiarą, że prośba ich do Boga, wznoszona za pośrednictwem św. Kingi, wysłuchaną zostanie.

Roku 1431 wielka klęska nawiedziła żupy bocheńskie: pożar niszczył kopalnie, a żadna siła ludzka nie mogła pokonać niszczącego żywiołu — jak piszą współcześni: »Wielkie dymy i płomienie straszliwe szybami wypadały, tak, że wszyscy rozumieli, iż ta koronna skarbnica w niwecz się obróci«.

»Co robić w tej ciężkiej przygodzie?« — pytał sam siebie żupnik bocheńsko-wielicki, Mikołaj Serafin z Dąbrówki, mąż zacny, rozumem i cnotami słynący. — »Co robić — skoro siły ludzkie na nic się nie przydadzą, tu jeszcze siła niebieska poradzić może! A wszakże to za przyczyną św. Kingi, kraina nasza ubogacona została kopalniami soli. Ją zatem o ratunek prosić trzeba. Niech ona ulituje się nad nami, niech uratuje dzieło swoje«. — Na wezwanie cnotliwego żupnika, zbiera się gromadka pobożnych i spieszy do grobu św. Kingi. W pokorze na kolanach błagają o uspokojenie niszczącego żywiołu, i oto w chwili, gdy tłum nabożny korzy się u stóp św. Kingi, gaśnie pożar w żupach bocheńskich.

Nie skończyłabym rychło, gdybym chciała wyliczać mnóstwo cudownych wydarzeń, które spowodowała św. Kinga — to też wspomnę już tylko o uroczystości, która się na cześć św. Kingi w Starym Sączu odbyła.

W lipcu roku 1892, upłynęło właśnie sześć wieków od śmierci św. Kingi, a ludzie udają się do niej z prośbami, tak jak niegdyś, za jej życia. Obchód tej sześćsetletniej rocznicy był bardzo wspaniały: ze wszystkich stron polskiej ziemi zgromadzili się do Starego Sącza pielgrzymi, aby uczcić świętą naszą Patronkę, w miejscach, gdzie pędziła cichy, ubogi, cnotliwy żywot, starając się jedynie o dobro bliźnich.

Czasy, w których na naszej ziemi żyła św. Kinga, były to czasy wielkich klęsk. Głównym powodem klęsk było rozkawałkowanie naszej Ojczyzny i rozerwanie jej na części, trwające od śmierci Krzywoustego.

Osłabiony wojnami domowemi naród, podzielony na kilkanaście dzielnic, nie mógł skutecznie stawić czoła tak potężnemu wrogowi, jakim był podówczas Tatarzyn. Pomimo osłabienia, nie popadł jednak naród nasz w niewolę tatarską, jak to stało się z licznemi plemionami azyatyckiemi, jak stało się z wieloma dzielnicami ruskiemi. To też rycerstwo polskie z czasów owych zasługuje na naszą cześć, wołało bowiem śmierć, niż niewolę.

Cześć należną oddają narodowi naszemu nawet obcy, cześć i uznanie oddawali mu Ojcowie święci w Rzymie.

Gdy razu pewnego, po najazdach tatarskich, stanęło polskie rycerstwo przed Ojcem świętym, prosząc go o relikwie, Ojciec święty odpowiedział:

»Czyż wy relikwij świętych nie macie dosyć? Wszak każda grudka waszej ziemi, przesiąkła krwią męczenników, przelaną w obronie wiary, jest relikwią. Czyż mało relikwij spoczywa w waszej ziemi? Wszakże w niej leżą kości tych, którzy w obronie krzyża utracili życie«.

Jak z jednej strony czasy św. Kingi są czasami klęsk, tak z drugiej strony są to czasy, w których święci i błogosławieni żyli między nami, w tak znacznej liczbie: Święci Czesław i Jacek Odrowąże; święte: Kinga, Jolanta, Salomea, Bronisława i Jadwiga ślązaczka.

To też Bóg sprawiedliwy, przez zasługi tych rycerzy, którzy w obronie wiary i Ojczyzny ponieśli śmierć, przez zasługi błogosławionych i świętych, zgotował lepszą przyszłość naszej Ojczyźnie, po czasach zamętu i niepokoju, zsyłając jej Łokietków i Kazimierzów, którzy nieszczęśliwą ziemię uczynili wielką i potężną.

Ten przykład przeszłości powinien w czasach niedoli i rozdziału krzepić nas otuchą, że Bóg z każdego upadku podźwignąć nas zdolny, byleśmy jak niegdyś starali się o męstwo i świętość!

KONIEC.

Pieśń pożegnalna.

Bywaj kraju, mój kochany,
Bywaj, moja chatko!
Siłą od Cię oderwany,
Żegnam Ciebie, Matko!

Idę, idę na wygnanie
Owiązan kajdanami —
Nie wiem co się ze mną stanie,
Czy się spotkam z wami.

Za to że walczyłem śmiało
Ja za świętą sprawę,
Chciałem sercem, duszą całą
Więzy skruszyć krwawe.

Za to cierpię srogie męki,
Bóle i katusze,
Za to piersi szarpią jęki
Szarpią moją duszę.

Biedna Polsko moja droga,
Co jęczysz w niewoli,
Depce Ciebie cara noga,
Sprawcy Twej niedoli.

Powstań, Polsko, zrzuć okowy,
Węża zgnieć tyrana,
I rozpocznij żywot nowy,
Polsko ukochana!

Poradnik dla dobrych matek.

Przez Dr. J Budzińską-Tylicką.

WSTĘP.

Zanim wypowiem swoje rady i wskazówki, któremi kierować się winna każda rozsądna i dobra matka w razie lżejszej choroby swych dzieci, lub jak ma ona postąpić, nim przyjdzie lub przyjedzie wezwany doktor, — to wpierw chcę dać parę ogólnych wskazówek co do zdrowego (hygienicznego) chowania dzieci.

Nie może jednak żadna matka być dobrą wychowawczynią i opiekunką swych dzieci, jeżeli nie otrząśnie się z tej całej masy przesądów i zabobonów, którym poddają się nawet rozsądniejsze, inteligentniejsze kobiety. Bo czyż jest o czem więcej przesądów, szczególniej po wsiach, jak w wychowaniu a głównie leczeniu maleńkich dzieci? Czy mało znamy skądinąd rozsądnych gospodyń, które, gdy dziecko im zachoruje, wpierw wołają babki, znachorki, kumoszki — te chorego »smarują«, »nastawiają«, »zamawiają«, wreszcie, gdy i to nie pomaga, matka zaczyna robić naraz wszystko, co inne sąsiadki i kumoszki doradzają; a więc: gotują różne zioła, obkładają ostrymi plastrami, a choroba przez ten czas coraz bardziej się rozwija, gorączka niszczy dziecię, biegunka go wycieńcza, lub puchnie, lub pokrywa się wrzodami i chwila każda zbliża dziecię do grobu. I dopiero gdy ze śmiercią walczy to biedactwo, wtedy po długich naradach zaprzęgają do furmanki do miasta po doktora. Lecz ratunek jego zapóźny.

Człowiek cudów czynić nie może, ale w porę wezwany lekarz często, bardzo często swą radą, nauką i praktyką setki chorych od śmierci uratować może. Ale wy najczęściej w ostatniej chwili wołacie doktora; wy marnujecie czas na smarowania i zabobony i sami często winni jesteście śmierci waszych najbliższych, najukochańszych. Wiem, że najczęściej biedni jesteście, że te kilka reńskich, które dać musicie doktorowi, to krwią i potem je zdobyliście i miały one wam służyć więcej jak na tydzień wyżywienia dla waszej całej rodziny; lecz czyż nie widzicie wokoło was, że gdy ciężko kto zaniemoże, to zdobywa się jednak na wezwanie doktora, ale najczęściej **zapóźno** - wtedy koszt ponosicie niepotrzebny i smutek śmierci i żałoby pokrywa waszą chatę.

A gdyby tak o tydzień, o dni parę wcześniej, ten sam doktor dałby wam mądre wskazówki, odpowiednie lekarstwo — to kto wie? czy zamiast smutku, nie radość byłaby wokoło was?

Właśnie zadaniem tej książki jest pouczyć was moi drodzy, k i e d y t o i j a k będziecie mogli sami sobie dać rady, gdy dziecię wasze zachoruje, a kiedy znów musicie j a k n a j p r ę d z e j w o ł a ć d o k t o r a i co robić, nim to doktor do was przyjedzie, by nie tracić ani chwilki czasu.

Poradnik ten będzie więc nie tylko pożytecznym, ale nawet k o n i e c z n y m w każdej chacie wiejskiej, w każdym domu robotniczym, a wreszcie i każdej dobrej, rozsądnej matce da wielkie usługi, aby tylko dobrze i z wiarą chciał być zastosowanym.

Chciałabym tą małą książeczką **wzbudzić w was wiarę:**

1) że uniknąć możemy wiele chorób przez odpowiednie zapobieganie, bo szczególniej choroby dziecinne są bardzo zaraźliwe jak: odra, szkarlatyna, dyfteryt, koklusz itd.;

2) że wyłącznie mleko powinno być do 8 miesięcy jedynym pokarmem dla niemowlęcia;

3) że suchoty (gruźlica) jest chorobą uleczalną, tylko ją leczmy jak najwcześniej;

4) że pijaństwo nie tylko jest strasznym nałogiem, rujnującym pieniężnie człowieka i czyniącym z niego bydlę, ale że i dzieci pijaków rodzą się chorenui i nieszczęśliwe tak niesprawiedliwie cierpią życie całe za winy ojców lub matek;

5) wierzmy, że świeże powietrze, czystość i słońce ratują nas od chorób i czynią nas silnymi;

6) wierzmy, że pomódz w ciężkiej chorobie mogą tylko ludzie, specyalnie w tem uczeni, a nie babki, znachorki i kumoszki.

Wreszcie 7) wyzbądźcie się zabobonów! bo to, co nazywacie, że »urzekło«, to nie żadna nienawiść ludzka, to żadne czary; lecz dziecię wasze przeziębiło się na zimnie i rosie, lub zjadło coś szkodliwego dla jego żołądka, lub zaraziło się jakąś chorobą przywleczoną waszą rodziną lub znajomymi z wsi sąsiednich.

Często także, gdy kto z was zaniemoże, czuje ból w bokach i ogólne osłabienie — mówicie wtedy, że »się oberwa« — nie wierzcie temu, bo to najczęściej jest przeziębienie lub początek jakiej cięższej choroby — nie traćcie czasu na smarowania i plastry, lecz pójdźcie poradzić się lekarza: on powód znajdzie i złemu zaradzi.

Wszak by być lekarzem i otrzymać dyplom doktorski, to na to trzeba długich lat pracy: po 4 latach szkoły miejskiej, uczyć się trzeba lat 8 w gimnazyum, a potem lat 5 li tylko o chorobach i chorych w uniwersytecie, razem lat 17 uczyć się trzeba, by zacząć was leczyć — to kawał czasu, nieprawdaż? Więc i niedziwota, że doktor łatwiej i rozumniej pozna się na chorobie i da wam potrzebne leki, by złemu zaradzić i stłumić zarazka choroby, gdy ona jeszcze niezbyt się rozwinęła.

Jakże mały i głupi jest rozum takiego znachora, który was oszukuje! lub takiej brudnej, ciemnej babki i kumoszki, która nawet czytać nie umie, a dla wszystkich chorób używa wciąż tych samych »zamówień« i czarów, tych samych smarowań i plastrów!

W krajach, gdzie nauka stoi bardzo wysoko i lud nie jest tak ciemny, jak u nas w Polsce, to tam prawie zupełnie zaginęły znachorki i znachorzy; w małych słabościach ludzie tam są dość światli, by sami módz sobie zaradzić, a gdy ktoś silniej zachoruje, w tej chwili biegną po doktora i rad jego słuchają uważnie, a zlecenia spełniają rozumnie.

I śmiertelność w tych krajach jest o wiele mniejsza. Ze wszystkich krajów całej Europy najwięcej umiera dzieci w Austryi i Rosyi; — umiera tam co czwarte urodzone dziecię; w samej Galicyi umiera rocznie 73.700 niemowląt w pierwszym roku życia; a wiecie dlaczego? bo lud nasz bardzo jeszcze jest ciemny, bo uparcie trzyma się zabobonów i właśnie najwięcej tych przesądów macie dla tych słabych, płaczących noworodków, a one przecież wymagają tyle czystości, tyle starań i opieki!

Opisy zamieszczonych obrazków w numerze 7, 8, 9 i 10 „Przodownicy“.

Obraz 2. Pobór.

Noc. Był pokoik cichy, skromny; żelazne łóżko, na półce książki, na ścianie krucyfiks, ampułka z wodą święconą i pistolety. Ten pokoik, to była siedziba pracy, modlitwy, młodzieńczych i narodowych ideałów, a przytulił się serdecznie do rodzinnego ogniska. Budziły się i rosły wielkie myśli, gorące uczucia, złote nadzieje wśród tych cichych ścian... Takie było zaranie. Ale przyszedł dopust Boży, rozwarły się przepaście, pochłonęły wszystko. Oto widzimy, że cisza i spokój zburzone, łóżko puste, stołek przewrócony. Niewiasta starsza na prędce odziana, weszła ze świecą z przyległego pokoju; na jej obliczu przerażenie, patrzy osłupiała i nasłuchuje, bo zbudził ją złowrogi hałas, a pokój znalazła pusty. To może matka.

Druga niewiasta w nocnym stroju, z włosami w nieładzie, poznała odrazu co się stało. Z rozpaczliwym krzykiem i rękami wyciągniętemi rzuciła się na drzwi. To pewnie siostra.

A poza drzwiami jeszcze dojrzeć można młodzieńca, którego ręce na grzbiecie skrępowano. Uprowadzają go, porwali go w rekruty, popędzą między śniegi tego syna, tego brata. Zginie on tam, albo zapomni nawet języka macierzystego; przepadł dla rodziny, dla kraju i dla siebie. Te nieszczęsne, osierocone wiedzą o tem; została im tylko rozpacz. —

W ten sposób porwano młodzieńców setki, chciano porwać wszystkich, lecz już ich nie zastano w domu. Poszedł okrzyk lasami: toż lepiej zginąć od razu, niż dać się wlec na zgubę, a może, może zdołamy się obronić.

Obraz 3. Kucie kos.

Więc ci, co uniknęli porwania, a z niemi i starsi, nawet weterani dawniejszych bojów, a z nimi i młodsi, pacholęta, schronili się do lasów. Co było gdzie broni ladajakiej, wzięli ze sobą; kokardki zdołały im jeszcze uszyć dziewczęta, i poszli na wojnę Na wojnę?! wszyscy oni marzyli o wojnie, śpiewali pieśni konfederatów, Kościuszkowskie, legionistów, czwartaków. I nadeszła ta wojna.

Jaka ona bedzie? czy pora właściwa? czy warunki odpowiednie? ci biedacy serdeczni nie myśleli o tem, ani też nikt za nich nie pomyślał Więc poszli się bić Widzimy ich w kuźni wiejskiej, z lasu przynieśli drążki, a kowale kują im kosy co prędzej. Kosy! bo Kościuszko niósł kosę, Głowacki z kosą brał armaty Pozostała legenda o kosach, ale czemże mogła być kosa w r 1863? Powstańcy czekają niecierpliwi; łuna bije z ogniska kuźni, bije blask z ich oczów i twarzy. Pójdą oni z kosami na strzały i bagnety; pójdzie ruchawka na regimenty niezliczone. Zginą, ale poszliby z gołemi pięściami Nieszczęśni; niewolnicy; bohaterzy.

Obraz 4. Bitwa.

Otoczono ich w lesie; otoczono całe mile lasu Bitwa już się odbyła, oddział powstańców uległ przemocy, został rozbity, ale jeszcze nie do szczętu. Pozostała w ustępie lasu jedna gromadka. Wokoło leżą zabici i ranni; kule padają gęsto, co chwila słychać jęk Ale ci ostatni nie ustąpią, nie poddadzą się. Jeszcze sztandar powiewa; haftowały go siostry i narzeczone. Gromadka coraz mniejsza; dziki szał ogarnia każdego; nie w głowie im nieść pomoc rannym, a i ranni jeszcze za broń chwytają, chociaż ich krew uchodzi i bladość śmierci ich okrywa. Ta gromadka ma lepszą broń; zginą wszyscy, ale sprzedadzą życie drogo; jedni karabin z bagnetem dzierżą silnie, inni celują do wroga spokojnie; wystrzelą wszyscy ostatni ładunek, potem wszyscy pójdą do ataku na bagnety. Lecz zanim dojdą, padną od kul. Ofiara będzie zupełna; las będzie cmentarzem i pogorzeliskiem.

Z GOSPODARSTWA.

Świerzb u kur. Kurom napadniętym świerzbem puchną nogi, skóra pęka i tworzy się twarda narośl, kura męczy się długo i w końcu ginie Po obejrzeniu wnętrzności pokazuje się u niektórych około serca duży pęcherz napełniony wodą, u innych wątroba nadmiernie powiększa i pokryta wrzodami. Lekarstwo nie tzlko, że żadne nie pomaga ale takiego ptaka nawet leczyć nie warto Tak w jednym, jak i w drugim wypadku należy kurnik dobrze oczyścić. Najpierw wykadzić go silnie siarką w ten sposób, że wyprowadza się z niego wszystek drób, zamyka wszelkie okna lub otwory jakie są, następnie stawia się na środek kurnika miseczkę z rozżarzonymi węglami i posypuje się kwiatem siarczanym a wychodząc zamyka się szczelnie drzwi. Następnie należy kurnik dokładnie oczyścić z kału, śmiecia i pajęczyn to wszystko spalić, cały kurnik wybielić wapnem z dodatkiem sinego kamienia, dalej całą podłogę wysypać popiołem i dopiero można drób na powrót wprowadzić.

Ziarno jako pasza dla trzody chlewnej zastępuje się zwykle pośladami, lub udziela się tylko w małych kilowych dawkach. Małym prosiątkom daje się tyle ziarna, wie e go potrafią zjeść, ziarno to musi jednak być suszone w piecu, gdyż surowe szkodzi świnkom, Surowego ziarna nie pożują, gdy im w ząbkach mlecznych wklęśnie, zaś ziarno suszone pochrupią i nigdy nim się nie przejedzą jeżeli go naraz dużo nie dostaną, tylko kilka razy dnia po trosze. Każda gospodyni powinna się tak obliczyć aby jej pozostał korzec żyta lub jęczmienia na każdą maciorę dla prosiątek.

Starszych świń nie karmi się żytem ani pszenicą, byłaby to pasza kosztowna, za to jęczmień jest bardzo dobrą paszą, tak dla świnek małych, jak i dla starszych opasów. Groch, wyka, soczewica, bób, kukurydza, łubin odgoryczany, można dawać świniom z dobrym skutkiem uważać tylko trzeba aby prośnym maciorkom nie dawać groszkowej karmy. Młodym warchlaczkom można dawać po pół kila dziennie, a będą bardzo ładnie rosły. Karmnikom daje się śrótę grochową, ziemniakami i innemi pokarmami od 1—3 kl. dziennie. Ktoby miał plewy tatarczane niech je ostrożnie spasa i uważa aby nie dawał równocześnie plewę i mąkę tatarczana i aby nie karmił hreczką w gorące lato, bo świnie dostają zapalenia głowy i giną bez ratunku w kilka godzin, a w szczególności świnki białe, jako delikatniejsze. Karmiąc świnie odpadkami hreczki tj. plewą, łupinami lub maką od krup należy karmić w małej ilości i przestrzegać aby trzoda nie była wystawioną na spiekę słoneczną. Dlatego lepiej będzie karmę hreczaną zużytkować w zimie aby uniknąć niechybnej straty.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka** w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.